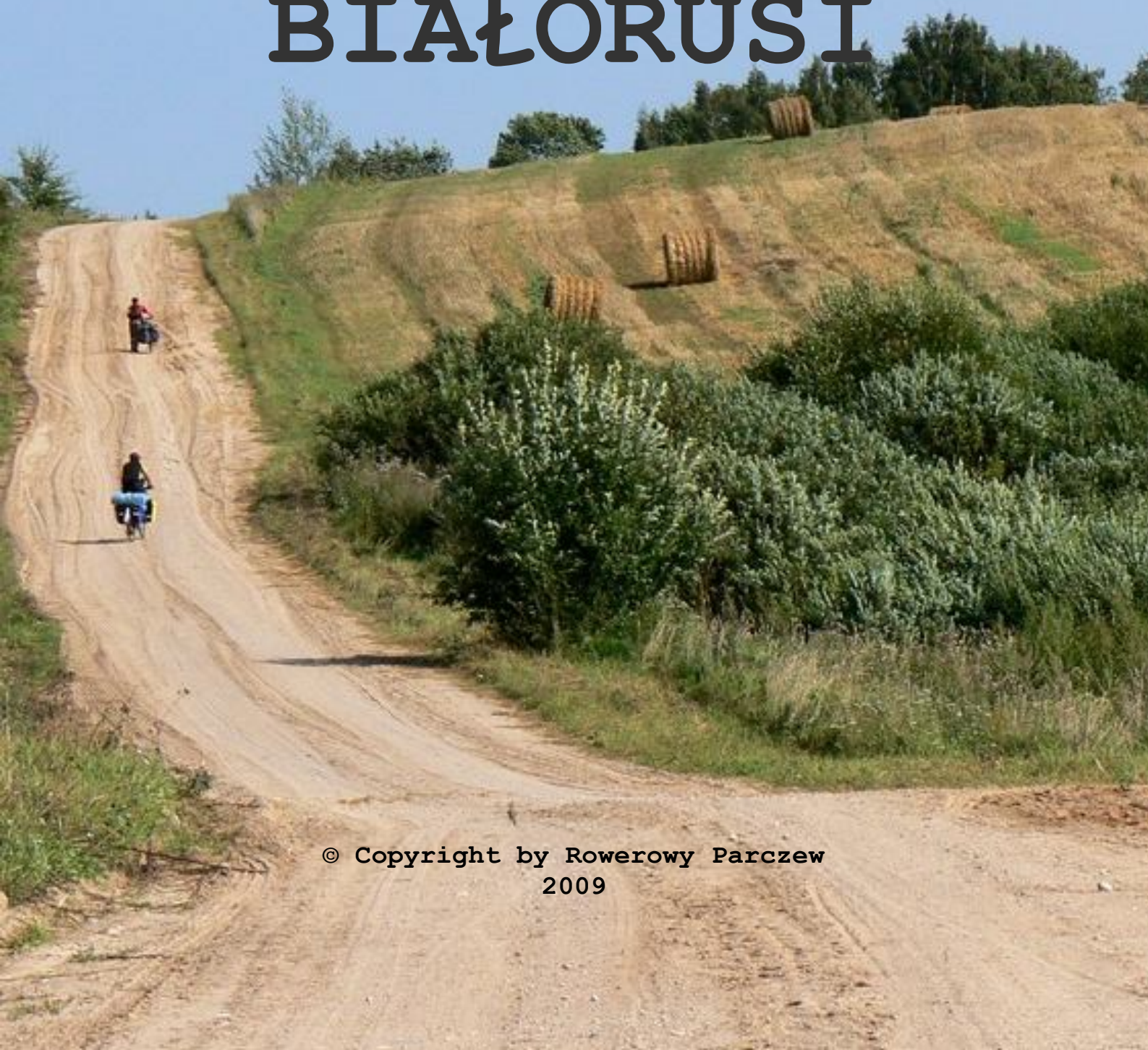


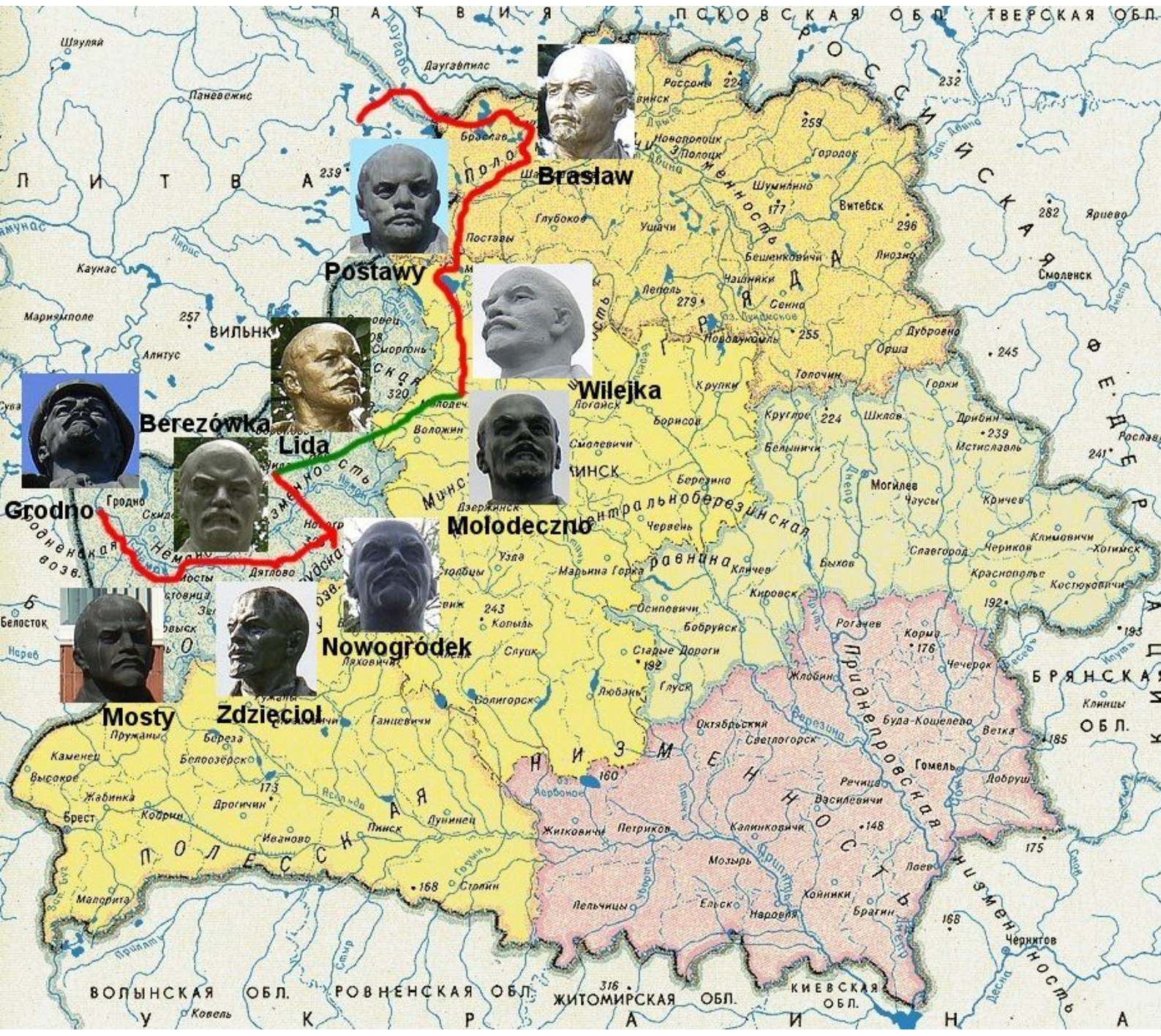
Grzesiek Kwiatek

# ROWEREM PO BIAŁORUSI



© Copyright by Rowerowy Parczew  
2009





8 sierpnia 2009

## **Prolog, czyli w przygranicznej Kuźnicy**

Kebab Kantor Ubezpieczenia - taki szyld zobaczyliśmy na małym, niepozornym budynku zaraz po tym jak wysiedliśmy z pociągu na dworcu w Kuźnicy Białostockiej. Ten szyld dokładnie odzwierciedlał tą tak charakterystyczną rozpierduchę, którą można spotkać w prawie każdej przygranicznej miejscowości. Kebab kantor ubezpieczenia, trzy w jednym, czyli wszystko i nic...

Naprzeciwko dworca w Kuźnicy znajduje się mały placyk, a wokół niego kilka prowizorycznych budek-kantorów. Szukaliśmy w nich białoruskich rubli. Jutro była niedziela, a my mieliśmy (jak się później okazało całkiem mylne) informacje, że na Białorusi wszystko w niedzielę jest pozamykane zależało nam więc aby zaopatrzyć się w białoruską walutę jeszcze po polskiej stronie. Nie było to takie proste jak nam się zdawało. Ruble znaleźliśmy w końcu tylko w jednym kantorze i też ich dla nas tam zabrakło. Wzięliśmy 200.000 i to było wszystko co w tej przygranicznej miejscowości mieli, a my chcieliśmy tych rubli ze trzy razy tyle...

Nocowaliśmy w małym lasku za Kuźnicą. Pierwsza noc tegorocznej wyprawy była bardzo zimna...



2

---

<sup>2</sup> Kebab Kantor Ubezpieczenia, czyli wszystko i nic.

9 sierpnia 2009

## Z Grodna do Bohatyrowicz, czyli pierwszy dzień na Białorusi

Pociąg do Grodna, który odjeżdżał z Kuźnicy Białostockiej o 7 rano w niedzielę 12 sierpnia był zupełnie pusty. Wagonów pewnie z dziesiątkę, ale w całym pociągu tylko my i kilku groźnie wyglądających funkcjonariuszy białoruskiej straży granicznej. Pogranicznicy zaraz po wejściu do pociągu wyjęli ze swych czarnych teczek zwykłe lusterka samochodowe kształtem i rozmiarami przypominające te od naszego Żuka, po czym porzysiadali się według prostego klucza: jeden pogranicznik - jeden wagon - jedno lusterko. Kiedy się już rozstawili umocowali owe lusterka za oknami w taki sposób, że mogli w ich odbiciu obserwować cały pociąg i zajęli "pozycje strategiczne" umożliwiające oprócz wnikliwej lustracji wagonów również czujną obserwację tychże lusterek. Chociaż w całym pociągu mieli do pilnowania tylko nas to przecież licho nie śpi i ostrożności nigdy za wiele... A nuż nagle ktoś wyskoczy z pociągu przekraczając tym samym w sposób nielegalny terytorium Republiki Białoruś! Zastanawialiśmy się tylko kto to mógł być bo w pociągu oprócz naszej trójki, o którą mogli być zupełnie spokojni jechali tylko oni... Wyglądało więc to wszystko tak, jakby pilnowali samych siebie.

Rozmowni za bardzo w każdym bądź razie nie byli. Wręczyli nam tylko karty migracyjne do wypełnienia i więcej nas nie zaczepiali...



3

Odprawa graniczna na dworcu w Grodnie wprawiła nas w zdumienie i zachwyt. Spodziewaliśmy się nie wiadomo czego, a tu pełna kultura, uprzejmości na prawo i lewo,

---

<sup>3</sup> Szybkie wypełnianie kart imigracyjnych, które na Białorusi są tak samo ważne jak paszport, a których to zgubienie oznacza niezłe kłopoty.

słowem nic z tego o czym myśleliśmy: że to, że tamto, że na karcie migracyjnej i wniosku wizowym adres kolegi z Brześcia, a my przekraczamy granicę w Grodnie..., itd. Strachy na lachy, bowiem odprawa przebiegła bezproblemowo. Żadnych niepotrzebnych pytań, sprawdzania bagażu, nic z tego... Jedynie szerokiej drogi, wszystkiego dobrego i szczęścia!

Anię, Olę i Elenę poznaliśmy dzięki organizacji internetowej Hospitality Club. Organizacja ta podobnie jak konkurencyjny Couchsurfing zrzesza ludzi z całego świata chcącym innym bezinteresownie pomagać. No bo - tak sobie myślałem przed wyjazdem - znajdziemy się w tym Grodnie sami, nie wiadomo gdzie pójść, co zobaczyć... Napisałem więc do Ani, która od razu wyraziła chęć bycia naszą przewodniczką po Grodnie...



4

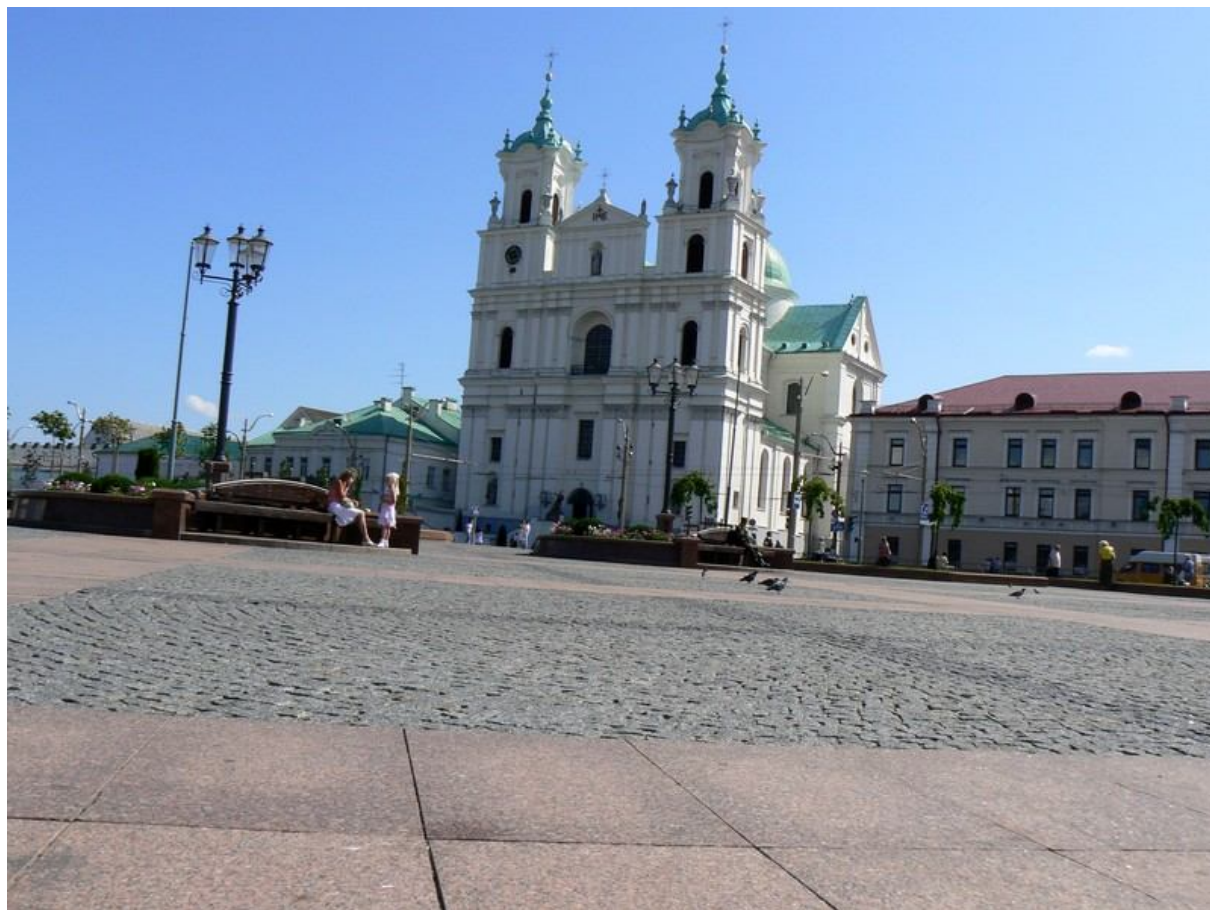
Mijamy ostatnią bramkę graniczną i... zamiast Ani, której zdjęcie na [www.hospitalityclub.org](http://www.hospitalityclub.org) miałem przed oczami witają nas dwie, młode dziewczyny. To Ola, młodsza siostra Ani i Elena, ich koleżanka. Przybyły po nas w "zastępstwie", gdyż Ania nie zdążyła wrócić na 9 rano do Grodna ze spędzonego "weekendu poza miastem".

Ola i Elena to urodzone przewodniczki. Oprowadzały nas po Grodnie z takim wdziękiem snując opowieść o tym mieście, że zaczarowały nas od razu! To dzięki naszym uroczym przewodniczkom zobaczyliśmy w Grodnie tak wiele: dom Elizy Orzeszkowej, w którym mieszkała i pisała przez lat 15, katedrę prawosławną Świętej Pokrowy, kościół luterański z początku XX wieku (nie tak znowu starą, ale zachwycającą swoją surowością). Idąc dalej ulicą Sowietką doszliśmy do placu Sowietkiego (dawnego Rynku) przy którym podziwialiśmy "perełki" Grodna: kościół farny św. Franciszka Ksawerego prowadzony

---

<sup>4</sup> Ola, Jarek, Ania, Wojtek, Grzesiek i Elena. Było tak fajnie, że żał było zegnać się z dziewczynami i opuszczać Grodno.

przez jezuitów (przy którym skupia się życie katolików z Grodna, polskiej mniejszości i duszpasterstwa akademickiego, do którego należą Ola i Elena) oraz kościół Przyjęcia Świętego Krzyża z początku XVII stulecia. Doszliśmy nad Niemen... Tam z ruin Starego Zamku zobaczyliśmy po raz pierwszy tą rzekę-legendę, po czym zwiedziliśmy znajdujące się w jego obrębie muzeum historyczne-archeologiczne (aby nie płacić taksy za bilet dla innostrajców dziewczyny przy kasie kazały nam siedzieć cicho...). W drodze powrotnej do centrum miasta zobaczyliśmy jeszcze wieżę strażacką zbudowaną przez mieszkańców Grodna (za "składkowe") po wielkim pożarze 1885 roku oraz starą synagogę... Tych wszystkich zabytków nie zobaczylibyśmy gdyby nie Ola i Elena, za co jeszcze raz w tym miejscu serdeczne dziewczynom dzięki!



5

To co nie podobało nam się w Grodnie to tylko wszechobecna kostka brukowa, która zastąpiła tutaj prawdopodobnie jeszcze stary, przedwojenny bruk. Oszpeciła ona grodzieńską starówkę bowiem zupełnie sztucznie wygląda na tle tych wszystkich wielowiekowych zabytków... Dowiedzieliśmy się od dziewczyn, że to sam prezydent Łukaszenko maczał w tym palce. Otóż członek rodziny prezydenta Aleksandra jest właścicielem firmy brukarskiej z wydaniem więc idiotycznych decyzji i pozwoleń nie było więc trudno... A szkoda, bo ten kto pozwolił zerwać starą nawierzchnię i wyłożyć kostką całą (dosłownie całą) starówkę wyrządził temu miastu wielką krzywdę. Kostka ta jak i nowoczesne budynki postawione bez żadnego pomysłu w obrębie Starego Miasta sprawiają, że teraz Grodno daleko do takich miast jak Kraków, Lwów czy Wilno...

Przed 13-tą przyjechała Ania. Umówiliśmy się w jednej z grodzieńskich jadłodajni, gdzie było swojsko, tłoczno, klimatycznie i tanio. "Nie interesują nas żadne tam restauracje,

---

<sup>5</sup> Kościół farny św. Franciszka Ksawerego w Grodnie, przy którym skupia się życie katolików oraz polskiej mniejszości w Grodnie

kelnerzy, wytworne kawiarnie... Chcemy iść tam gdzie chodzi zwykły Białorusin z Grodna po ciężkiej, codziennej pracy..." - tak właśnie odpowiedzieliśmy Oli i Elence, kiedy zapytały nas gdzie chcemy spotkać się z Anią.

Ania w sierpniu kiedy widzieliśmy się w Grodnie pracowała jeszcze na stażu odrabiając darmowe studia (na Białorusi nie ma lekko, chcesz za darmo studiować - odpracuj to potem! W każdym bądź razie o wyjeździe za granicę od razu po studiach mowy nawet nie ma!). Teraz już wiemy, że udało Jej się jednak jakoś wyjechać i rozpocząć wymarzone studia doktoranckie na Uniwersytecie Szczecińskim... Gratulujemy więc i życzymy upragnionego doktoratu!

Pogadaliśmy sobie w tej swojskiej, zatłoczonej knajpce przeszło godzinę. O pierdołach rzecz jasna bo o czym można rozmawiać jak się widzi kogoś pierwszy raz w życiu? Zjedliśmy olbrzymią porcję czeburieków z surówką, które odąd stały się hitem naszej wyprawy i głównym składnikiem wyprawowego menu i pożegnaliśmy się z dziewczynami...

Czeburieki w Grodnie były naprawdę wyjątkowe. Przez 9 dni na Białorusi praktycznie codziennie je jedliśmy, ale żadne potem nie smakowały nam już tak wybornie. Śmiemy twierdzić, że żadne z tych, które jedliśmy na 800 kilometrowej trasie do Braśławia nawet koło tych grodzieńskich czeburieków nie leżały...



6

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Grodna ruchliwą drogą w kierunku południowo-wschodnim nagle usłyszeliśmy tuż za nami syrenę milicyjnego auta. "Zaczyna się, jasna cholera" - szepnąłem sam do siebie... Odezwał się pierwszy mit o okrutnej, przekupnej, białoruskiej milicji, której będzie trzeba płacić w grubych dolarach za niewiadomo co... Owszem, sygnał był wyraźnie kierowany do nas, ale panowie milicjanci zamiast nas zatrzymać i wyłudzać łapówkę podjeżdżają, zrównują się z nami i "zapraszają" do zjazdu i dalszego kontynuowania jazdy po chodniku... Zrobili to zapewne w trosce o nasze bezpieczeństwo, gdyż droga, którą chcieliśmy wydostać się z Grodna była naprawdę ruchliwa, a chodnik zupełnie pusty. Kiedy już zobaczyli, że zrozumieliśmy o co im chodzi i znaleźliśmy się na chodniku pomachali nam przyjaźnie i zniknęli wśród pędzących aut...

Pierwszy mit obalony! Spodziewaliśmy się nie wiadomo czego, a tu takie rozczarowanie! Kiedy znaleźliśmy się już za miastem i zrobiło się zupełnie cicho naszyły nas pierwsze refleksje i wrażenia z pierwszych godzin na Białorusi. No właśnie po pierwsze te głupie mity i brak rzetelnej informacji w polskich mediach o tym jak teraz na Białorusi jest

---

<sup>6</sup> Czeburieki w Grodnie były naprawdę wyjątkowe...



naprawdę! Piszą tylko o biedzie, Łukaszence, zacofaniu... Nic z tego drodzy panowie i panie! Przyjechaliśmy do Grodna w niedzielę i zdezorientowani tym co krąży w naszym kraju o Białorusi byliśmy pełni obaw czy chociażby uda nam się w dzień świąteczny wymienić gotówkę na białoruskie ruble. Nie było żadnego problemu! Zrobiliśmy to już na dworcu, zaraz po odprawie granicznej... Zaraz potem Ola i Elena zaprowadziły nas do domu towarowego "Niemen", którego asortymentem nie powstydziliby się żaden polski, słynny market... Ale największego pietra mieliśmy takiego czy uda nam się kupić w niedzielę, gdzieś w Grodnie jakieś w miarę dokładne, białoruskie mapy bez których dalsza jazda nie miałaby zbytniego sensu. Nie było sprawy! W jednej z grodzieńskich księgarni kupiliśmy świetne mapy białoruskiego wydawnictwa Belkartografija w skali 1:200 000! Na marginesie dodam, że Wojtek zabezpieczył się w owe mapy już w Polsce płacąc za jedną z nich 30 zł, za tą samą, za którą zapłaciliśmy w księgarni w Grodnie 3770 białoruskich rubli (czyli ok. 3,50 zł, niezła przybitka!)... Jeszcze jak dodam, że zamiast spodziewanego bezładu zobaczyliśmy w Grodnie niemalże idealny porządek to już wystarczy, aby pokazać jak ludzie w Polsce mało wiedzą o Białorusi, jak mało o tym kraju wiedzieliśmy również i my...



7

Jechaliśmy w kierunku Bohatyrowicz, wioski znanej z "Nad Niemnem" Orzeszkowej. Za Grodnem wjechaliśmy w boczne, wyludnione, prowincjonalne drogi... To fakt, ruch na białoruskich drogach nawet krajowych jest mały, na prowincjonalnych zaś, nawet tych asfaltowych wręcz znikomy. Od czasu do czasu mijają nas tylko jakiś ciężarowy, wiekowy żółty albo kołchoźny traktor... Drogi białoruskie poza większymi aglomeracjami są więc wprost idealne na rower! To co jeszcze rzuca się od razu w oczy to ogólne wyludnienie tego kraju. Na Białorusi na 1 km<sup>2</sup> przypada 47 osób, w Polsce zaś prawie trzy razy więcej. W czasie tej wyprawy wielokrotnie doświadczymy owego braku ludzi w pobliżu...

---

<sup>7</sup> Z Grodna wyjechaliśmy na drogi lokalne i pomimo zakupionych w Grodnie map musieliśmy pytać się czasami o drogę miejscowych.



8

Wioski czyste i zadbane. Wszystkie domy kolorowe: żółte, zielone, brązowe, niebieskie... Obejścia drewniane, skromne, ale schludne, przeważnie z tradycyjnym ogródkiem od strony drogi i pomalowanymi na niebiesko okiennicami... Spotykaliśmy po drodze wioski, w których wszystkie płoty na przykład pomalowane były jednakowo w pstrokate wzory i barwne kolory, tak jakby mieszkańcy wsi zmówili się i robili to kolektywnie...

Saszę pierwszy spotkał Wojtek. Odbił w bok do widocznych na horyzoncie zabudowań spytał którądy mamy teraz jechać do Bohatyrowicz, a wrócił z Saszą...

Sasza postanowił pokazać nam drogę osobiście... Był to mężczyzna koło 30-tki, wysoki, muskularny, o krótkich, blond włosach. Jechał z nami kilka ładnych kilometrów na swoim zdezelowanym góralu z mocno scentrowanym, tylnym kołem, półnagi, na bosaka. Ledwie za nim nadążaliśmy... Pracuje 15 km dalej w kołchozie, gdzie dojeżdża rowerem, ma piękną żonę i dwie śliczne córeczki. Bardzo lubi swoją wieś, lubi to co robi i ogólnie wyglądał nam na zadowolonego z życia. Każdego wieczoru siada tak jak teraz na rower, bierze ze sobą psa i we dwóch robią co dzień tą samą trasę wokół wioski, w której mieszkają. Do tej pory myślał, że Polacy są inni, ale kiedy nas spotkał już wie, że to "nie płochyje ludzie"...

Saszę zapamiętałem nie tylko za szczerość, z jaką opowiadał nam o swoim prostym życiu, Sasza miał również uścisk dłoni, który czuję do dzisiaj...

---

<sup>8</sup> Tędy do Bohatyrowicz...



9

Dojechaliśmy do Bohatyrowicz, wioski Jana i Cecylii z powieści Orzeszkowej. Jest godzina 20:30 czasu białoruskiego. Cisza, spokój dookoła. We wsi spotykamy grupę młodzieńców. Pytamy o to co pozostało po rodzie Bohatyrowiczów. Już nic nie ma - pada odpowiedź. Nie wnikamy, nie szukamy, co to za różnica. Bohatyrowicze 113 lat później (akcja powieści rozgrywała się pomiędzy czerwcem a sierpniem 1886 roku)...

Rozbijamy się nad Niemnem. W ciepłe letniego wieczoru połączonego z chłodem, który ciągnie od rzeki nad Niemnem zachodzi już słońce... Jest właśnie tak jak pisała pani Eliza: "Księżyc znacznie już podniósł się na niebie, zmałał, przygasł i łagodnym światłem oblewając wysoką górę i bór przeciwny oszklął powierzchnię rzeki drobnymi falami pomarszczoną. Pod napowietrzną, bladeżółtą lampą księżycyca w wodzie jakby zanurzoną stała kolumna światła podstawą zwrócona ku powierzchni rzeki, a ognistą kulą dna jej sięgającą, pełna wewnętrznych drzeń i migotań..."

---

<sup>9</sup> Z Saszą dojechaliśmy prawie do Bohatyrowicz. Sasza jechał na rozklekotanym góralu, na bosaka, ze swoim wiernym psem. Ledwie za nim nadążaliśmy...



10



11

---

<sup>10</sup> Niemen w pobliżu Bohatyrowicz. Nad samą rzeką rozbiliśmy namioty pierwszego dnia na białoruskiej ziemi.

<sup>11</sup> Poranek nad Niemnem.

10 sierpnia 2009

## Grawijką wzdłuż południowego brzegu Niemna

Wstałem wcześniej rano przed chłopakami. Chciałem zobaczyć jak wygląda poranek nad Niemnem i zrobić parę zdjęć o świcie. Nad rzeką unosiły się właśnie poranne mgły, a promienie słońca delikatnie przebijały ich cienką materię iskrząc figlarnie w wodzie. O świcie wszystko jest takie wyraźne, niemal na wyciągnięcie ręki!



12

Ruszyliśmy drogami polnymi wzdłuż Niemna przez okoliczne wioski. Na niektórych domach czerwona gwiazda i napis "Zdjes żywił uciastnik wielkiej otjeciestwiennoj wojny 1941-1945". Pamięć o wojnie i jej uczestnikach jest na Białorusi wciąż żywa i bardzo ważna, stąd te zdobienia domów, w których nadal mieszkają (bądź raczej mieszkali) kombatanci, stąd właśnie w prawie każdej większej wiosce czy miejscowości stoi pomnik upamiętniający bohaterów wojennych, ofiary mordów wśród ludności cywilnej, ważną bitwę...

Po drodze pierwsze kołchozy. Niektóre w stanie ruiny, opuszczone, jeszcze inne bardzo nowoczesne z potężnymi silosami, tętniące życiem i pracą...

Rolnictwo na białoruskiej wsi uprawiane jest kolektywnie, nie ma gospodarstw prywatnych. Wszyscy pracują w kołchozach dla wspólnego dobra i nie wyobrażają sobie, że może być inaczej...

---

<sup>12</sup> O świcie wszystko jest takie wyraźne, niemal na wyciągnięcie ręki!



13

---

<sup>13</sup> W tym domu mieszka uczestnik wielkiej wojny ojczyźnianej 1941-1945.



14



15

---

<sup>14</sup> Po drodze spotykaliśmy kolchozy. Niektóre w stanie ruiny, opuszczone...

<sup>15</sup> Jeszcze inne bardzo nowoczesne z potężnymi silosami, tętniące życiem i pracą...

Kołchozy w okresie żniw rywalizują ze sobą. Kto więcej i szybciej zbierze, zasieje, itd. Tak zwana idea współzawodnictwa... Każdy kołchoz ma swojego lidera - przodownika pracy, z których najlepszy dostanie na koniec lata w nagrodę od państwa nowy samochód...

Jedziemy cały czas wzdłuż Niemna, w pobliżu rzeki i co kilka kilometrów zjeżdżamy z drogi by przez łąki dojechać nad jej brzeg. Kiedy tam się już znajdziemy podziwiamy, mlaskamy jak tu pięknie, robimy zdjęcia... Trochę denerwuje to Wojtka, który lubi bardziej płynną jazdę... Rzeczywiście, czasami z Jarkiem zachowujemy się jak dzieci, tak jakbyśmy taką dużą rzekę jaką jest Niemen widzieli pierwszy raz w życiu...

Na białoruskich wioskach, nawet tych większych, gminnych (ba, nawet w obleganym przez turystów Naroczcu, ale o tym akurat przekonamy się dopiero za kilka dni) nie ma kanalizacji. Na północy Białorusi ludzie kąpią się w baniach (o bani także będzie trochę później), ale tutaj na zachodzie kraju ten zwyczaj nie jest praktykowany pozostają więc zwykle studnie. Często jest tak, że jedna studnia przypada na parę domów i stoi taka zazwyczaj gdzieś przy drodze będąc ogólnie dostępną. Korzystamy z tego dobrodziejstwa wielokrotnie nie musząc przy tym nikogo bez przerwy prosić o wodę, szukać jej, brać jej większe zapasy. Staje się przy takiej studni, wyciąga całe wiadro, pije ile się tylko da, nabiera w bidony, resztę wylewa na siebie i jedzie dalej, do następnej. A żar z nieba akurat w dniu dzisiejszym powoduje, że w gardłach zasycha nam znacznie szybciej i czynności te wykonywać musimy ze zdwojoną częstotliwością błogosławimy więc szczególnie te przydrożne studnie...



16

---

<sup>16</sup> Na białoruskich wioskach studnie stoją przy drodze. Możemy nabrać wody i ochłodzić się przed dalszą jazdą w pełnym słońcu.



Ładna brunetka sprzedająca z żółtej beczki kwas chlebowy za 1300 rubli/litr gdzieś przed Mostami śmiała się z nas w ogóle tego nie ukrywając. Może nie tyle z nas co z naszej nieporadności w obsłudze białoruską walutą. Rzeczywiście, komicznie musi wyglądać to jak wyjmujemy pojedynczo każdy banknot, oglądamy go ze wszystkich stron, liczymy po parę razy, a i tak zawsze coś się nie zgadza... Białoruś jako jedyny kraj w Europie nie ma bilonu i jest to swoisty ewenement. Białoruska inflacja ma jednak swoje plusy, a to takie, że człowiek zawsze ma poczucie, że ma dużo pieniędzy! Cokolwiek kupujemy to płacimy wszędzie pełnymi garściami i w grubych tysiącach!



17

Po drodze kolekcjonowałem Leninów. Denerwowało to trochę chłopaków, że tracimy niepotrzebnie czas, że on wszędzie taki sam, itd., ale jak to śpiewały Fasolki "każdy ma jakiegoś bzika, każdy jakieś hobby ma..." więc jeździłem i szukałem. Znalazłem dziesięciu. Różnych...

Lenin w Grodnie na przykład czapkę ma na głowie i dumnie pręży pierś, ten z Mostów znowu czapkę trzyma w lewym ręku, a prawą w kieszeni, wódz z Lidy natomiast jest cały złoty i trzyma jakieś zwinięte w rulon pismo, a w Brasławiu jego wzrok jest nieobecny, sięga ponad horyzont wypatrując nie wiadomo czego... W każdym bądź razie legenda o tym, od którego wszystko się zaczęło jest wciąż na Białorusi bardzo żywa... Ba, czytałem niedawno, że ostatnio gdzieś pod Mińskiem postawili nawet pomnik Stalinowi... O, zgrozo!

Za Mostami zaczęła się słynna, białoruska szutrówka, z rosyjskiego zwana grawijką. Główne drogi na Białorusi są zazwyczaj asfaltowe i w porządnym stanie, ale jechać

---

<sup>17</sup> Kwas chlebowy to napój na Białorusi bardzo popularny.



18



19

<sup>18</sup> Po drodze kolekcjonowałem Leninów. Znalazłem dziesięciu...

<sup>19</sup> Białoruska klasyka - budynek magistratu, pomnik Lenina i przejeżdżająca Łada.

głównymi drogami na wyprawie rowerowej to porażka i kiepski pomysł z kilku zresztą względów, w które teraz wnikać nie będę. My unikaliśmy głównych dróg jak ognia zwiedzając przede wszystkim białoruską prowincję, na której drogi są jakie są...

Grawijka na białoruskiej prowincji jest zazwyczaj strasznie poryta przez kombajny, ciągniki i przeróżne maszyny rolnicze dojeżdżające na kołchoźne pola, a to przeszkadza w jeździe rowerem najbardziej. Trzęsie nami wprost niemiłosiernie... Jadąc rowerem każdą, nawet najmniejszą nierówność czuć wszystkimi członkami, od głowy, która lata bezwładnie po skórę i mięśnie, które sprawiają wrażenie jakby chciały oderwać się od kości...

Szukamy bez przerwy alternatywnych torów jazdy na tej rozjeżdżonej, porytej grawijce. I kiedy już, już myślimy, że to jest to, że w końcu znaleźliśmy wąski pas, którym tak nie trzęsie, którym da się w miarę normalnie jechać wtedy nawierzchnia momentalnie zmienia się i wpadamy w jeszcze większe wibracje! W końcu poddajemy się i już niczego nie szukamy. Byle do przodu, przed siebie, byle szybciej tę morderczą grawijkę przejechać...



20

Nowosiółki sprawiają wrażenie jakby czas się tu zatrzymał. Wjeżdżamy do wsi, do której prowadzi polna, piaszczysta droga i pierwsze co rzuca się w oczy to opuszczone domy. Jeden, drugi, trzeci, po kolei... Co jest grane? W końcu zauważamy przy jednym z domów siedzące na ławeczce trzy kobiety w wieku mocno zaawansowanym. Podjeżdżamy, zaczynamy rozmowę... Okazuje się, że we wsi mieszka obecnie już tylko 35 osób. Starsi wymarli, młodzi powyjeżdżali... Nasze rozmówczynie wspominają jak uczyły się przed wojną języka polskiego w szkole przed wojną, kiedy tereny te były

---

<sup>20</sup> Mieszkanki Nowosiółek pamiętały jeszcze język polski z przedwojennej szkoły.

jeszcze Polską. Opowiadają o tym z wielkim przejęciem, prawie ze łzami w oczach, wzruszamy się więc wspólnie...

W Nowosiólkach nad Niemnem zrobiliśmy sobie dłuższą, regeneracyjną przerwę na obiad i kąpiel. Akurat jest południe i żar z nieba sięga zenitu więc to najlepszy pomysł na tę porę dnia. Usadawiamy się na wysokiej skarpie w miłym cieniu rosnących tam drzew mając w dole majestatycznie płynącą rzekę. Na obiad jemy białoruskie, nie zbyt zresztą smaczne parówki i idziemy się wykąpać. Pierwsza kąpiel w Niemnie!

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Nowosiółek ławka na której siedziały trzy starsze kobiety była już pusta, a sama wieś sprawiała wrażenie wymarłej. Żywego ducha! Pomyślałem, że za kilka lat nie będzie już tych pań, a reszta z 35 starszych mieszkańców tej wsi także odejdzie do nieba. Przyjadą wtedy tu zapewne nowobogacy z miast i zaczną stawiać domki letniskowe i dache. Nie będzie już tych samych Nowosiółek... Kto będzie wtedy o jej obecnych mieszkańcach jeszcze pamiętał?

Za Nowosiólkami grawijki ciąg dalszy. Zmęczenie powoli daje znać o sobie... Dodatkowo jakby ruch trochę większy, a każdy przejeżdżający samochód zostawia za sobą chmurę pyłu, który delikatnie i niepostrzeżenie opada zostawiając swój ślad na naszej trójce w postaci pylistego kurzu. "Ruch trochę większy" w tym przypadku oznacza, że od Nowosiółek na godzinę mija nas teraz jakieś pięć-sześć samochodów (tę uwagę wtrąciłem tylko po to, abyśmy się dobrze zrozumieli i aby drogi czytelnik wiedział z jaką kategorią natężenia ruchu uczestnicy tej wyprawy mieli do czynienia na drodze z Nowosiółek do Orli...)



21

---

<sup>21</sup> Za Nowosiólkami grawijki ciąg dalszy...

Nie mogliśmy sobie wymarzyć piękniejszego pożegnania z Niemnem. Po przejechanych ponad 150 km przy jego brzegu czas odbić na wschód, w stronę Nowogródka... Zrobiliśmy to w Orli. Tam właśnie pojechaliśmy na most we wsi, aby ostatni raz (miał być to ostatni raz, ale nie był jak się później okaże...) na tej wyprawie spojrzeć na Niemen. Słońce tego dnia stało już nisko i widok na rozlewiska i starorzecza Niemna w jego wieczornej poświacie był bajeczny!



22

W Romanowiczy przy tabliczce z początkiem wsi zaczął się asfalt, który jak ręką uciął skończył się przy drugiej tabliczce obwieszczającej jej koniec. Tam dostrzegło nas trzech białoruskich rajdersów na strasznie rozklekotanych rowerach z tylnymi kołami chodzącymi na prawo i lewo, którzy postawili sobie za cel ścigać się z nami. Nie mieliśmy żadnych szans... Wyrwali ostro do przodu wyjeżdżoną drogą przez pola i za chwilę byliśmy już daleko w tyle. Spotkaliśmy się kilka minut potem za niewielkim wzniesieniem. Świętowali tam swoje zwycięstwo paląc papierosy i spoglądając na nas z triumfalnymi minami...

We wsi Poriecie mamy kolejne, niezapomniane spotkanie. Równie nieoczekiwane co ulotne... Tym razem z pewną rodziną spotkaną przy drodze. Jak zwykle mnóstwo pytań: skąd, dokąd, dlaczego rowerem... Kiedy dowiadują się, że my z Polszy starsza babcia wzrusza się głęboko i zaczyna recytować "Kto ty jesteś - Polak mały. Jaki znak twój - orzeł biały..." Zaprasza do domu... Jako, że dzień ma się już ku końcowi dziękujemy za zaproszenie i pytamy o miejsce, gdzie możemy rozbić namiot. Powstaje wtedy pewne milczące niezrozumienie w naszym teamie i niezdecydowanie spowodowane zapewne wyraźnym już przemęczeniem. Patrzymy się na siebie głupio i tak zamiast spędzić noc w

---

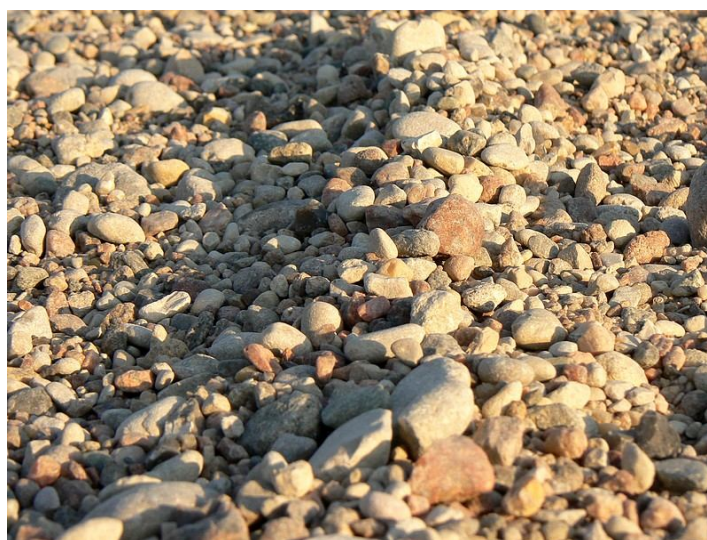
<sup>22</sup> Nie mogliśmy sobie wymarzyć piękniejszego pożegnania z Niemnem. Widok na rozlewiska i starorzecza Niemna w jego wieczornej poświacie był wprost bajeczny!

obejściu tych przemitych ludzi, rozbijamy namiot kilka kilometrów za wsią w niezbyt urokliwym miejscu. A mogło być tak pięknie...

Jestem taki zmęczony, że namiot rozbijam resztką sił. To był dla mnie najcięższy dzień całej wyprawy. Zrobiliśmy dzisiaj 116 km w większości po garbatym szutrze i trzęsie się we mnie wszystko...



23



24

---

<sup>23</sup> W Romanowiczi dostrzegło nas trzech białoruskich rajdersów, którzy postawili sobie za cel ścigać się z nami.

<sup>24</sup> Najgorszy rodzaj szutrówki po którym jazda rowerem jest już prawdziwym wyczynem. Były i takie odcinki...

11 sierpnia 2009

## W Nowogródku i nad jeziorem Świtez

Wczoraj w Porieczu kupiliśmy zapobiegawczo na śniadanie białoruskie danie ze słoika... Trzeba umieć przyznać się do błędu, bo dobre „to to” nie było...

Kilka kilometrów dalej w sklepie w Ogorodnikach sprzedaje tak ładna ekspedientka i to w dodatku z takim dekoltem, że żal nam opuszczać to miejsce...



25

Sklep ten jest jakby żywcem przeniesiony z czasów PRL-u. Niemal identyczny pamiętam jak przez mgłę w połowie lat 80-tych u mojej babci w Miłkowie pod Parczewem w takim szarym, niedużym budynku przy drodze do SKR-u. Podobnie skromny asortyment... Na jednej półce tylko alkohol, papierosy i słodycze. Na drugim wszystko resztę, czyli gotowe dania w słoikach, olej, proszek do prania, trzy miski, jakaś beczka i deska klozetowa dopełniająca niemal harmonijnie całości. Sklepy w miastach są zazwyczaj dobrze zaopatrzone, na wsiach bywa z tym gorzej... To co jeszcze zwraca naszą uwagę to drewniane liczydło na ladzie, niewątpliwie wciąż w użyciu pomimo tego, że ładna ekspedientka posługuje się przy wydawaniu nam reszty już kalkulatorem...

Pierwszych przodowników pracy zobaczyliśmy w Działowie (Zdzięciole). Na wielkiej tablicy przed magistratem zdjęcia tych, którzy są chlubą miasta. Jest wśród nich ślusarz, majsterczynie elewatora, elektryk, wąsaty przedstawiciel czegoś tam, pani nauczycielka z miejscowej szkoły, starszy inspektor milicji... Jeszcze w latach 80-tych podobne tablice wisiały w każdym polskim mieście. Wyobrażacie sobie teraz coś takiego?

---

<sup>25</sup> W sklepie w Ogorodnikach sprzedaje tak ładna ekspedientka, że żal nam opuszczać to miejsce...



26



27

<sup>26</sup> Pierwszych przodowników pracy zobaczyliśmy w Działowie...

<sup>27</sup> Sklepy w miastach są zazwyczaj dobrze zaopatrzone, na wsiach bywa z tym gorzej...



Droga z Działowa do Nowogródka na mapie zaznaczona była kolorem żółtym oznaczającym drogę krajową. Myślimy – Nowogródek to dość duże miasto więc i drogi dojazdowe powinny być w końcu niezłe. Nic bardziej mylnego. Znowu przez 35 km żołądek skacze nam do gardła na nierównej, porytej kołami traktorów grawijce...



28

Nowogródek! Kolejne miasto kresowej legendy... My jednak kiedy tam dotarliśmy wcale nie myśleliśmy o Adamie Mickiewiczu i tym co w Nowogródku po Nim zostało (co robi większość turystów z Polski) tylko pierwsze kroki skierowaliśmy do domu Sióstr Nazaretanek z nadzieją załatwienia tzw. meldunku - rzeczy na Białorusi świętej. W tym kraju brak tegoż meldunku po trzech dniach roboczych licząc od daty wjazdu może oznaczać niezłe kłopoty, a co najmniej siermiężny mandat albo karę... Najgorzej mają jednak ci, którzy tak jak my hotele i pensjonaty mają głęboko gdzieś i nocują w namiotach "na dziko" (co zresztą absurdalnie jest na Białorusi dozwolone!). No bo co z takimi urząd ds. meldunkowych Republiki B. ma zrobić? Kiedy nocujesz np. w hotelu wszystko jest jasne i załatwia to za ciebie recepcja. Wpisuje delikwenta w specjalną książkę i jest jakiś dowód, że przebywał tu i tu wtedy a wtedy... Kiedy jedziesz na zaproszenie do kogoś, także załatwia to za ciebie gospodarz domu, który wypełnia odpowiednie kwity, że ten a ten zatrzyma się u niego od do, niesie do urzędu i sprawa załatwiona. A co z takimi jak my? Tych prawo białoruskie niestety nie uwzględniało i nikt nie wiedział co z nami począć... Przekonamy się zresztą o tym wkrótce...

Pojechaliśmy więc najpierw do Sióstr Nazaretanek w Nowogródku, aby "jakoś to załatwić"... Przywitała nas szczupła, wysoka, energiczna zakonnica z Warszawy (przebywająca właśnie u sióstr w Nowogródku w odwiedzinach) dla której problemu

---

<sup>28</sup> Znowu na drodze do Nowogródka żołądek skacze nam do gardła na nierównej, porytej kołami traktorów grawijce...

żadnego nie było... Zawołała współsiostrę "od meldunków" (ten przydomek to tylko nasz pomysł, ale wydaje mi się, że trafny bo owa zakonnica, białorusinka z krwi i kości z tego co się zorientowaliśmy była w Nowogródku niejako pośredniczką między zakonem, a urzędem meldunkowym) i wydała odpowiednie dyspozycje, jeśli tak to można nazwać... Siostra "od meldunków" odpowiedziała, że trochę to potrwa, ale "da się zrobić", po czym zostaliśmy zaproszeni na obiad...



29

To był pierwszy, prawdziwy obiad od trzech dni. Prawdziwy bo z dwóch dań... Na pierwsze zupa grzybowa, a na drugie młode ziemniaczki z białą kiełbasą i swojskiej roboty keczupem. Pychota. Tego nam właśnie było potrzeba! Byliśmy zadowoleni z obrotu spraw jak jasna cholera. Do czasu...

Pół godziny później wróciła z urzędu siostra "od meldunków" i oznajmiła nam, że owszem, ale "g...no z tego"... Znaczy się nie do końca tak powiedziała, ale tak można mniej więcej przetłumaczyć na prosty, chłopski język jej prawdziwe słowa. Przekroczony limit meldunków na dzisiaj - tak dokładnie odpowiedziała nam kiedy spytaliśmy „co z naszą sprawą”. Owszem, dosłownie tuż przed nami przybyli do Sióstr Nazaretanek z Nowogródka w liczbie przekraczającej tuzin "turyści" z Polski trzema niezłych marek i roczników autami i jak zdążyliśmy zauważyć dla nich meldunek jednak zakonnice załatwiły, a dla nas, biednych, utrudzonych, rowerowych wędrowców zmagających się z siłami natury i własną słabością limit meldunkowy został wyczerpany. Nie ładnie, bardzo nie ładnie... Ale cóż "kto pierwszy ten lepszy" jak głosi stare, mądre porzekadło więc pozostało nam kombinować coś innego...

"Przepraszamy, ale może jutro... Nie możemy wzbudzać podejrzeń urzędu... A zresztą jak jedziecie nad Świteż to wstąpcie do pobliskiego sanatorium, tam bez problemu was

---

<sup>29</sup> Nowogródek! Kolejne miasto kresowej legendy...

zameldują..." - mniej więcej na pożegnanie to usłyszeliśmy. Ok! Zostawiamy więc rowery u siostrzyчек i lecimy pozwiedzać Nowogródek.

Od domu Sióstr Nazaretanek na rynek Nowogródka droga prowadzi ostro pod górę. W pobliżu domu zakonnego po prawej stronie wznosi się na wysokim wzgórzu kościół farny Przemienienia Pańskiego z początku XVIII wieku, w którym został ochrzczony nasz wieszcz Adam Mickiewicz. Właśnie kościół jest poddawany pracom remontowo-konserwacyjnym i obowiązuje na jego teren zakaz wstępu jednak przekonujemy (nie było to wcale takie trudne) pracujących tam robotników i oglądamy kościół także w środku. Za kościołem weszliśmy na Górę Zamkową... Gdyby nie Szwedzi, którzy dokładnie w 1706 roku wysadzili w powietrze zamek wybudowany ciężką pracą przez poddanych królowi, a przypisywany przez historyków jemu samemu, jakby to on sam go wybudował (chodzi o pierwszego króla Litwy - Mendoga, ale tak to już z historią jest, że budują wszyscy, a laury zbiera jeden) to pewnie teraz w całej okazałości byśmy oglądali ów zamek. A tak oglądamy tylko jego ruiny od których bardziej atrakcyjnym jest rozległy widok ze wzgórza na położone u jego stóp miasto.

Przy nowogródzkim rynku (oczywiście wyłożonym kostką brukową, a jakże!, która na Białorusi przeżywa obecnie prawdziwy bum) kolejne zabytki: dworek Adama Mickiewicza, w którym poeta spędził młodość, kościół św. Michała Archanioła, sobór św. Mikołaja (będący kiedyś zresztą kościołem katolickim), stare XVIII i XIX wieczne kamienice...



30

---

<sup>30</sup> Dworek Adama Mickiewicza w Nowogródku, w którym poeta spędził swą młodość.



31

---

<sup>31</sup> Kościół farny Przemienienia Pańskiego w Nowogródku, w którym został ochrzczony Adam Mickiewicz oraz w którym zawarł związek małżeński król Polski Władysław Jagiełło z Zofią księżniczką Holszańską.

Aby zachowana była równowaga we wszechświecie pomiędzy tym co dla ducha, a tym co należy się ciału postanowiliśmy odwiedzić jeszcze bar co się "Rzymem" zowie akurat stojący dyskretnie przy rynku i wypić po jednym zimnym. Bar jak to bar nic w nim szczególnego nie było oprócz... kibelka. Jak za starych dobrych czasów - niezawodna prostota konstrukcji! Po bokach miejsce na stopy, a pośrodku dziurka!

20 km prostą, asfaltową drogą i byliśmy już przed ogrodzonym niczym wojskowy teren sanatorium „Świteż”. Za ładnie to wszystko wyglądało, żeby mogło pójść tak gładko i prosto, czarno to widziałem... I tak też było. Najpierw przywitał nas standardowo stróż, który również standardowo nic nie wiedział i poszedł tradycyjnie po kierownika. Kierownikiem okazał się być młody, nażelowany kosiorek w kowbojkach. Jak tylko go zobaczyliśmy wszystko stało się nagle jasne jak słońce i już nic nie musiał nam wyjaśniać ani tłumaczyć... Meldunek wg niego mogliśmy tylko i wyłącznie zdobyć nocując w tym sanatorium, ale akurat mają komplet, itp. itd. Nieźle w sumie pan kierownik ściemniał, ale fakt jest faktem, że musimy jutro zmienić nasze plany i wrócić do Nowogródka aby szukać gdzieś tego cholernego meldunku...

"Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie, Do płużyn cimemnego boru Wjehawszy pomnij zatrzymać tve konie, Byś się przypatrzył jezioru..." Zgodnie z sugestią naszego narodowego wieszczka tak zrobiliśmy, a nawet więcej, bo nie tylko dokładnie przyjrzeliliśmy się jezioru Świteż, ile w nim właśnie wzięliśmy wieczorną kąpiel. Na niewielkiej plaży na oko ze 20 osób, wśród nich między innymi grupka wesoło bawiących się dam w wieku ponad młodzieżowym popijających dziarsko, ze słowiańską werwą z kilku pootwieranych butelek szampana. Sądząc po uśmieszkach i ożywionych komentarzach wzbudziliśmy w damach spore zainteresowanie, które zdecydowanie nasiliło się, kiedy zaczęliśmy rozbierać się aby wejść do jeziora...

Jezioro Świteż położone jest niezwykle malowniczo pośród lasu. Na całym jego obwodzie tylko dwa miejsca gdzie można się kąpać. Tam gdzie kąpaliśmy się my i na przeciwległym brzegu, gdzie plaża jest ogrodzona i wstęp mają tylko "pensjonariusze" sanatorium. A tak dookoła jeziora tylko las i drzewa, niektóre urokliwie chylące się ku tafli...

Rozbijamy się na dzikim polu namiotowym, na leśnej polanie niedaleko jeziora. Oprócz nas jeszcze ze trzy namioty, przy których palą się ogniska i siedzą "letnicy" wpatrując się w milczeniu w ogień. Strasznie cicho, tak jakby ich w ogóle nie było, jakby to były ze Świtezi zjawy...

Ognisko - świetny pomysł! Ale nie mamy kiełbasy, nie mamy też piwa, a jeszcze bardziej ochoty na to aby tym samym dołączyć do milczącego kręgu naszych współtowarzyszy kontemplujących ogień... Wsiadamy więc z Jarkiem na rowery i pomimo późnej pory jedziemy kilka kilometrów do Waliewki z nadzieją znalezienia jakiegoś otwartego jeszcze sklepu. Na próżno... Wracamy nad Świteż w zupełnych już ciemnościach. Bez kiełbasy i piwa nie ma już takiej motywacji i chęci na ognisko, jemy więc przy świetle latarki to co mamy i idziemy spać.



32



33

---

<sup>32</sup> Adam Mickiewicz – „Świtezianka”

<sup>33</sup> Jezioro Świtez

12 sierpnia 2009

## Zmiana planów, czyli jak znaleźliśmy się w Lidzie

Ranek nad Świteziem nie zapowiadał tego, że będzie to najmniej konstruktywny dzień całej wyprawy. A jednak...

Wszystko przez ten cholerny meldunek! Przez niego musieliśmy zmienić nasze plany... Gdyby wczoraj Siostrzyczki Nazaretanki nam pomogły i nas zameldowały to zamiast wracać się teraz do Nowogródka jechalibyśmy dalej do Miru, a stamtąd w nieprzebyte przestrzenie dzikich lasów i bagien Puszczy Nalibockiej, co zresztą miało być programową atrakcją tegorocznej wyprawy. A tak, adieu puszczańska kraino...

W Nowogródku straciliśmy znowu masę czasu przez ten meldunek. Najpierw pojechaliśmy jeszcze raz do Nazaretanek... Zadzwoniliśmy grzecznie do drzwi, otworzyła nam młoda zakonnica. Poprosiliśmy o rozmowę z siostrą "od meldunków". Okazało się, że wyjechała dzisiaj rano i będzie dopiero za kilka dni. No to świetnie, jesteście załatwieni!

"To może siostra nam pomoże?"

"Przepraszam Was chłopcy, ale nie mogę. Nasz zakon nie może tak ryzykować. Przykro mi..." - powiedziała łamaną polszczyzną młoda nazaretanka.

Nam też było przykro, ale cóż... głową muru nie przebijesz...

Już chcieliśmy się poddać i jechać dalej gdy w głowach zaświtał nam kolejny pomysł. Hotel! Prawdę mówiąc bez cienia nadziei przekraczałem wraz z Wojtkiem jego próg...

W recepcji siedziała tęga recepcjonistka z tlenionymi blond włosami. Zaczęliśmy od tego samego, czyli że my na rowerach przez Białoruś, nocuju w pałatku i że jak dzisiaj nie zdobędziemy pieczątki z meldunkiem to po nas... (dzisiejszy dzień jest właśnie trzecim roboczym dniem naszego pobytu na terytorium Białorusi, a zarazem ostatnim, w którym zgodnie z prawem tego kraju mamy obowiązek zameldowania się. Gdy tego w dniu dzisiejszym nie zrobimy, na granicy przy wyjeździe zapłacimy prawdopodobnie grzywnę większą niż kosztowała nas cała ta wyprawa...). Pani recepcjonistka wysłuchała nas cierpliwie po czym podniosła znużony wzrok zza wysokiego blatu i rzekła krótko "dawajcie migracyjne karteczki". Nie potrzebowała więcej wyjaśnień...

Czym prędzej (żeby się nie rozmyśliła) podaliśmy jej karty migracyjne, które to otrzymaliśmy na granicy, a których to strzeżliśmy jak źrenicy oka (zgubienie tejsze karty oznacza niezłe kłopoty!), na odwrocie których bez wahania przybiła trzy pieczątki, wypełniając je treścią, że obywatel ten a ten zatrzymał się w hotelu "Nowogródek" z 12 na 13 sierpnia 2009 roku i podpisując to własnoręcznym podpisem. Nie wierzyłem własnym oczom! Tak szybko i sprawnie poszło teraz to o co bezskutecznie od wczoraj tak zabiegaliśmy, że stanąłem jak wryty. Wydukałem tylko nieśmiało "Ile to kosztuje?" Pani recepcjonistka nowogródzkiej gostinnicy spojrzała na mnie pytająco i spytała:

- "Wy chacie tutaj nocować?"

"Niet, my mamy pałatku"

"To wy niczewo nie płatitje"...

Opadła mi szczeka. Przekonałem się po raz kolejny, że w życiu nigdy nie można załamywać rąk i mówić, że się nic nie da zrobić! Aby zakończyć już sprawę z meldunkiem i do niego nie wracać dodam tylko, że w myśl zasady, że im więcej pieczątek tym lepiej próbowaliśmy jeszcze w kolejnych dniach zdobyć ową pieczątkę meldunkową w

podobnych hotelach w Lidzie, Mołodecznie i Wilejce za każdym razem odchodząc z kwitkiem i słysząc sakramentalne "Nie magu". Pani zaś, recepcjonistka gostinnicy w Nowogródku przybiła nam ją bez chwili wahania, nie pytając i nie podejrzewając nas o nic, bezinteresownie. Kocham takich ludzi jak ona!

Uspokoił się. Mamy meldunek na dzisiaj i zadowoleni postanawiamy uczcić to sytym obiadem. Znajdujemy stołówkę (taki rodzaj stołówki, coś jak kiedyś u nas bary mleczne albo konsumy) w Nowogródku, gdzie za 4500 rubli (4 złote!) jemy obiad złożony z kotleta de Volai, bułki z parówką, dużego czeburieka i podwójnej porcji surówki! Za 4 złote tyle jedzenia!

Do dzisiaj zastanawiam się na jakich zasadach działają stołówki na Białorusi. W sklepach ceny żywności są porównywalne jak w Polsce więc w przeliczeniu na nasze za 10 zł niewiele można tam kupić. Za to w "stołówkach" za 10 zł ma się dwa duże obiady z piwem... Myślę więc, że "Stołówki" są dofinansowywane z budżetu państwa, bo czy opłaca się sprzedawać cały kilogram pysznej surówki z białej kapusty za 2000 rubli (2 zł za kilo!!!) albo sporego kotleta de Volai za 1500? Tak właśnie tanio było w stołówce w Nowogródku, ale później w Mołodecznie i Brasławiu, gdzie także jedliśmy w "stołówkach" było podobnie...



34

Zmieniliśmy plany i z Nowogródka pojechaliliśmy do Lidy. Straciliśmy przez ten meldunek cały dzień i postanowiliśmy nadrobić ten czas przedostając się rowerami do Lidy, a stamtąd pociągiem gdzieś bliżej północy Białorusi...

---

<sup>34</sup> Stołówka jest w każdym białoruskim miasteczku. Tam można tanio i smacznie zjeść domowy obiad.



50 kilometrowy odcinek pokonaliśmy bez większych przygód i emocji. Przez niemal całą nudną drogę nienagannym, białoruskim asfaltem prowadziłem nasz trzyosobowy team. Myślałem tylko o tym, aby jak najszybciej ją przejechać...

Droga do Lidy pewnie przeszłaby zupełnie bez echa i historii gdyby nie to, że po drodze przed Bierzówką mijamy jadących w stronę Nowogródka, a poznanych jeszcze w Grodnie (pierwszy raz spotkaliśmy się przed grodzieńskim muzeum archeologiczno-historycznym) sakwiarzy z Rosji, jedynych rowerowych podróżników, których udało nam się w czasie naszej dziewięciodniowej wyprawy spotkać...

Spotkani rowerzyści z Rosji byli zupełnie wyjątkowi, a to ze względu na skład tej nietypowej, sześćosobowej grupy. Dwoje małych dzieci, mama, tato oraz dwójka ich znajomych. Podróżują sobie tak jak my po Białorusi na rowerach z sakwami i tak jak my nocują w namiotach. Chłopczyk w rowerowym foteliku wyglądał na jakieś 3 lata, dziewczynka na rowerze z kołami 16 cali to sześciolatka już pannica... Pytamy się ile kilometrów mogą tak dziennie przejechać z małymi dziećmi... "Kak my skażem tak oni budu jechać..." Okazuje się, że robią dziennie od 50 do 100 km! Jak dzieci mają kryzys i dość wszystkiego kupują im lody, dzieci wtedy są zadowolone i jadą dalej...



35

Zastanawiamy się tylko komu ta cała wyprawa bardziej się podoba czy dzieciom czy ich rodzicom... Miesiąc przed naszą wyprawą zabrałem naszego małego, dwuletniego Miłosza i żonę Anię na przejażdżkę Pojezierzem Łęczyńsko-Włodawskim. Trzy dni, założenia dzienne do 10-15 km tylko... I były momenty kiedy mój syn zasypiał ze znużenia na kierownicy w czasie niedługich (5-7 kilometrowych) przejazdów pomiędzy

<sup>35</sup> Spotkanych rowerzystów z Rosji pytamy ile kilometrów mogą tak dziennie przejechać z małymi dziećmi... "Kak my skażem tak oni budu jechać..."

poszczególnymi jeziorami. Fotelik rowerowy ze względów bezpieczeństwa mamy zamontowany na ramie z przodu roweru więc podścielaliśmy tylko coś miękkiego na kierownicę, na której delikatnie umieszczaliśmy główkę małego Miłosza i tak jechaliśmy dalej... A ci rowerzyści z Rosji robili dziennie od 50 do 100 km z dzieckiem niewiele starszym od naszego Miłka i 6 letnią dziewczynką na małym, dzieciennym rowerze!

To potrafią tylko Rosjanie!

Nawiasem mówiąc po tej jedynej rowerowej wycieczce z Miłoszem teraz trzy razy się zastanowimy zanim wyruszymy jeszcze raz z Nim na podobną eskapadę... Nam się podobało, ale czy jemu? Tego pewni nie jesteśmy...

W Berezowce przy hucie szkła widok przepiękny! Ponad 50 rowerów przed bramą wszystkie markowe, made in Ukraina. Tylu rowerów w jednym miejscu, w dodatku takiej klasy już dawno nie widzieliśmy! My się tym zachwycamy i robimy zdjęcia, a dla ludzi z Berezowki i okolic rower to jedyny środek transportu, nawet w zimie...

Przed Lidą łapie nas pierwsza, poważna ulewa tej wyprawy. Podróżuję na rowerze od lat i jeszcze tak nie było, że udało się jechać przez tydzień lub dłużej zupełnie bez deszczu. Takie to uroki rowerowania...



36

Zadaszone przystanki autobusowe i drewniane altanki na parkingach, dosłownie co kilka kilometrów są na Białorusi prawdziwym błogosławieństwem. Czyste i schludne nie to co u nas... Wszystkie kolorowe i pomalowane z pomysłem. I tak spotykaliśmy przystanki w słoniki, wiewiórki, psy, niedźwiadki... A drewniane altanki to już były istne dzieła sztuki,

---

<sup>36</sup> Niektóre przystanki autobusowe na Białorusi to prawdziwe dzieła sztuki.

miały kształt łabędzi, grzybków lub czegoś innego... Aż miło było poczekać na takich na cokolwiek...

Lida nas zupełnie rozczarowała. Może nie samo miasto (miasto jakich wiele...) ile ów słynny zamek książąt litewskich tam się znajdujący. Nawet nie weszliśmy na jego dziedziniec gdyż zamknęli go akurat przed naszym przyjazdem (w Lidzie byliśmy wcale nie tak późno bo przed 17-tą), chociaż nie wiem czy by to coś zmieniło... Słowem - nie polecamy!

Za to w Lidzie przybyło mi kilka perełek do moich kolekcji (oprócz kolekcjonowania Leninów zbierałem również zdjęcia tabliczek z nazwami ulic oraz słynne, białoruskie reklamy)... Tam właśnie trafiliśmy na czerwono brzmiące ulice: Engelsa, Lenina, Kamsamolskaja... Wcześniej z Grodna miałem pamiątkę z ulicą Sowietką, w Braślawiu zdobędę Dzierżyńskiego... Kiedyś zbierałem znaczki, prospekty i monety, od kilku lat nie zbieram już nic, ale po tej wyprawie widzę jednak, że pasja zbieracza i kolekcjonera jednak mnie nie opuściła...



37

Wyjeżdżając z Lidy trafiamy na prawdziwą perełkę białoruskiej reklamy! Reklamę lodów „soldackich”... Chciałbym uściskać rękę temu kto ją wymyślił... Na górze napis "PRISZŁO WRIEMIJA", co w moim wolnym tłumaczeniu znaczy "przyszedł czas", na środku sylwetki żołnierzy, a na dole duży napis z wykrzyknikiem "SOŁDATSKOWO!" co można przetłumaczyć jako "żołnierski, żołnierskiego". Na początku myślałem, że zachęca białoruską młodzież do wstąpienia do wojska i myślę zresztą, że każdy na moim miejscu miałby podobne skojarzenia... A tu bach! Po przyjeździe do domu zamieszczam zdjęcia z

<sup>37</sup> Oprócz kolekcjonowania Leninów zbierałem również zdjęcia tabliczek z czerwono brzmiącymi nazwami ulic...

wyprawy w internecie na Picasa Web Album i dostaję od niejakiej Vaverki13 taki oto komentarz "Ciekawie poczytać, jak obcokrajowce widzą Białoruś. Powiem tylko że Lenin jest wszędzie jako pamiątka z historii, nikt nie zwraca uwagi, napis "Kocham Cię Białoruś" jest potrzebny Białorusinom ponieważ przez walkę Polski i Rosji o naszą ziemię, którzy nie chcieli przyznać, że jesteśmy białorusinami spowodowało słabą tożsamość Białorusinów (...) Sklepy są puste, ponieważ po co dużo towaru tam, gdzie nie ma komu kupować, a wojenny plakat to reklama lodów "soldatskich..."

Kiedy to przeczytałem zrobiło mi się głupio, że we wszystkim doszukiwałem się "inności" Białorusi. A tu kubek zimnej wody - zamiast plakatu zachęcającego do wstąpienia do wojska jak myślałem, reklama zwykłych lodów! Ale kto mógł wiedzieć...



38

W sumie reklama lodów sołdackich była jedną z niewielu "normalnych" reklam, które widzieliśmy. Bo jeśli już gdzieś spotykaliśmy jakieś reklamy, była to zazwyczaj reklama Białorusi jako kraju (patrz komentarz wyżej traktujący o tożsamości...). W Grodnie na głównym placu na budynku naprzeciwko kościoła farnego wielki napis "Ja ljublju tiebja, Bielaruś!", w Lidzie na budynku magistratu podobny "Kwitniej, Bielaruś!", a nieco dalej billboard z którego uśmiechają się dwie piękności i napis "My Bielaruś!". W Wilejce na ulicy Pierwomajskaje na szarym, postradzieckim bloku uśmiechnięty znowu dziadzio pod czerwonym krawatem trzymający w lewej dłoni czerwonego goździka i napis "Slawa tiebje, wietieran!" albo jeszcze billboard (chyba z Grodna) gdzie starsza kobitka trzyma sierp i trochę kłosów "Za Bielaruś!". Jak mogłem przejeżdżać obojętnie i nie robić zdjęć takim perełkom?

---

<sup>38</sup> To jest reklama zwykłych lodów... Chciałbym uściskać rękę temu kto ją wymyślił...



39



40

<sup>39</sup> Za Bielaruś! Jedna z pereł białoruskich reklam...

<sup>40</sup> My Bielaruś! Kolejna perła...

Na drodze do Doliny, wioski za Lidą, gdzie postanowiliśmy przenocować trzęsie jak cholera. Nagle coś spada za mną, odwracam się i widzę, że ciągnę po ziemi swój bagażnik. Pękł aluminiowy wspornik podtrzymujący go w poziomie. Na szczęście (w tym miejscu podziękowania dla Pawła Pontka z Klubu Karpackiego dzięki któremu sugestiami zabraliśmy na wyprawę kawałek zwykłego drutu) mamy ów drut, który skutecznie będzie podtrzymywał mój bagażnik aż do końca wyprawy... A tak się śmiałem się z tego, że Jarek uparł się co do tego drutu! Gdybyśmy go nie wzięli miałbym za swoje... Trzeba by było gdzieś zespawać ten pęknięty wspornik, szukać kogoś ze spawarką itd. itp., a tak owinałem go drutem kilka razy za ramę i mogliśmy jechać dalej...

Na szczęście szybko zareagował Jarek... Zbierało się na deszcz więc działać trzeba było szybko... Przyjęliśmy metodę "na gospodarza". Owszem, znalazła się "miejscówka" na nocleg, ale Pani Gospodyni wskazała nam miejsce delikatnie mówiąc "nie za bardzo" na swoim zabłoconym po dzisiejszym deszczu podwórku pełnym kurzych kupek (wyobrażam sobie jak wyglądałby rano nasz namiot...). Już chcieliśmy się z Wojtkiem tam rozbijać (za chwilę szykowała się kolejna ulewa więc spanikowaliśmy) gdy do akcji wkroczył Jarek, zaprotestował stanowczo i rozbiliśmy się w sumie 200 metrów dalej, za wsią przy torach kolejowych na ładnej polance osłoniętej drzewami.

Pośpiech to jednak zła cecha. Czasami na spokojnie wystarczy przesunąć się nawet o 100 metrów dalej, aby spędzić noc w zupełnie bajkowym otoczeniu (co prawda w nocy ziemia dudniła od przejeżdżających pociągów i słysząc je było nazbyt wyraźnie, ale było to miejsce o niebo lepsze niż na tym zabłoconym podwórku). Aha... Zdążyliśmy się rozbić przed deszczem, co jest kolejnym dowodem na to, że pośpiech zazwyczaj nie jest wskazany...



41

---

<sup>41</sup> Pierwsza awaria - Pękł aluminiowy wspornik podtrzymujący mój bagażnik w poziomie.

13 sierpnia 2009

## Z Lidy do Mołodeczna i dalej na północ

Z perspektywy czasu, jak teraz o tym myślę to był kiepski pomysł. Zamiast jechać wczoraj do Lidy mogliśmy z Nowogródka pociąć od razu w stronę Mołodeczna. Jadąc asfaltem i nie tracąc czasu na dojazd do tej Lidy podejrzewam, że bylibyśmy w Mołodecznie wcześniej niż tym żółwiastym pociągiem.

Za rowery (chyba, że dla nas jako "innostrańców" była jakaś oddzielna, specjalna taryfa...) zapłaciliśmy tyle samo co za nas samych. Przewoziłem już rower w pociągach w kilku innych krajach i Białoruś pod tym względem jest ewenementem. Nie żalę się wcale bo drogo nie wyszło (za osobę 5500 rubli, za rower to samo, więc razem 11000, czyli niecałe 11 zł za 100 km) tylko było to trochę dla nas dziwne. Ale co kraj to obyczaj jak mawiają!



42

Zresztą nie chodzi nawet za ile a jak... Te 100 km z Lidy do Mołodeczna jechaliśmy trzy godziny! Iście żółwiaste tempo... Średnia 33,3 km/h, niewiele większa od tej jaką rozwijamy rowerami po asfalcie!

W Mołodecznie byliśmy po 12-ej. Nie będę rozwodził się znowu nad tym samym, ale dodam tylko, że coś nas podkusiło aby wstąpić jeszcze zapobiegawczo do Urzędu ds. Obywatelstwa i Migracji miasta Mołodeczna z nadzieją zdobycia (na tzw. "wszelki wypadek") kolejnej pieczętki z meldunkiem (w Nowogródku byliśmy zameldowani tylko

---

<sup>42</sup> W przeliczeniu na złotówki tyle białoruskich rubli to niecałe 9 zł. Białoruska inflacja ma jednak swoje plusy, a to takie, że człowiek zawsze ma poczucie, że ma dużo pieniędzy!

na jedną, wczorajszą noc) w myśl zasady, że im więcej pieczętek tym lepiej. Wchodzimy więc do tego urzędu i mówimy jasno w czym rzecz, że jedziemy przez Białoruś na rowerach, śpimy w pałatku itd. itp.

- "Nie magu" - odpowiedziała bez cienia wahania w głosie pracownica rejonowego Wydziału ds. Obywatelstwa i Migracji. Z jej dalszych wyjaśnień zrozumieliśmy to, co sami wiedzieliśmy doskonale, mianowicie że może nas zameldować tylko wtedy, jeśli zgłosimy się do urzędu z kimś u kogo zatrzymamy się na noc...

- "Ale my nocuju w pałatkach..."

- "To ja nie znaju..."

Prawo białoruskie takich jak my widać nie uwzględniło, dalsze więc tłumaczenia i prośby były bezcelowe...

Droga z Mołodeczna do Wilejki była nudna jak cholera. Jechaliśmy cały czas asfaltem, było chłodno, w dodatku zaczęło z nieba kapać... O tej drodze zresztą, jak i całym dzisiejszym dniem lepiej szybko zapomnieć...

W Wilejce dowiedzieliśmy się, że proboszczem tutejszej parafii katolickiej jest Polak. Rodak - myślimy - zamelduje nas na pewno, próbujemy... Od budujących nową plebanię młodych białorusinów dowiadujemy się jednak, że ksiądz wyjechał i będzie dopiero późnym wieczorem... I właśnie wtedy zrobiliśmy to co powinniśmy zrobić już dawno. Podjęliśmy prawdziwie męską decyzję o tym, że nie będziemy więcej tracić czasu jeżdżąc za jakimś głupim meldunkiem. Co ma być to będzie... Jeśli wystarczy na granicy ten jedyny meldunek z Nowogródka jaki zdobyliśmy to dobrze, jeśli nie to mówi się trudno... Nie wybraliśmy się przecież na Białoruś aby zwiedzać urzędy migracyjne czy recepcje hoteli! I tak straciliśmy już przez ten meldunek prawie dwa dni...

Koniec tego! Jedziemy dalej i w dupie mamy ich meldunki i grzywny...

Z chwilą kiedy podjęliśmy tę jednogłośnie uchwałę nasza wyprawa nabrała nowej świeżości i blasku. Kiedy teraz o tym myślę, aż zdziwienie mnie bierze, że nie zrobiliśmy tego wcześniej...

O Wilejce szybko pewnie byśmy zapomnieli gdyby nie jej główny plac. Z jednej strony kościół katolicki, po drugiej stronie cerkiew prawosławna, a w środku Włodzimierz Iljicz...

Kościół i cerkwie stojące naprzeciwko siebie to kolejny dowód na to, że na Białorusi ekumenizm nie sprowadza się tylko do pustych słów ale praktykowany jest w codziennym życiu. Po drodze widzieliśmy także krzyże katolickie i prawosławne obok siebie co świadczy o łagodnym i tolerancyjnym usposobieniu tutejszych mieszkańców...

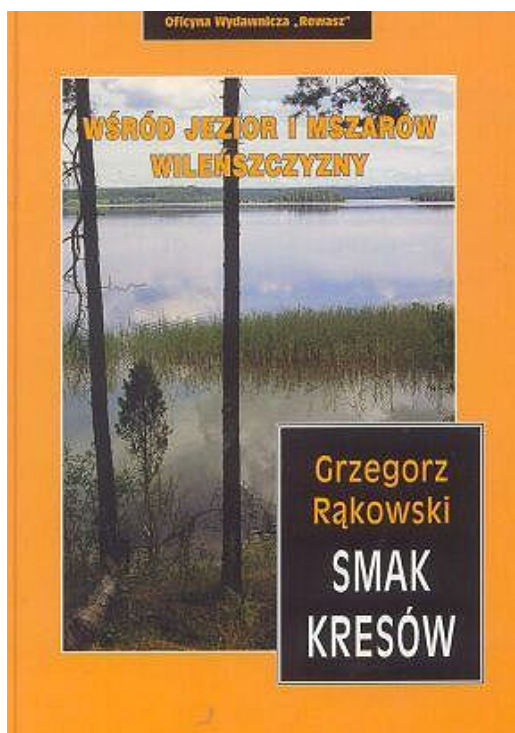
W tym miejscu relacji dojechaliśmy do przepięknej, drewnianej cerkwi prawosławnej w Lubaniu za Wilejką i w związku z tym, że dzisiaj nie działa się za wiele i nie ma co opisywać nadszedł czas na podsumowanie spotkanych przez nas zabytków sakralnych na białoruskich wioskach i w małych miasteczkach przez które przejeżdżaliśmy. A trochę tych kościołów i cerkwi przez te prawie 800 km po drodze widzieliśmy... Niektóre duże, okazałe i murowane, niektóre bardzo skromne, drewniane, wiekowe jak właśnie ta cerkiewka w Lubaniu...

Zróbmy więc mały przegląd najładniejszych lecać po trasie którą jechaliśmy...

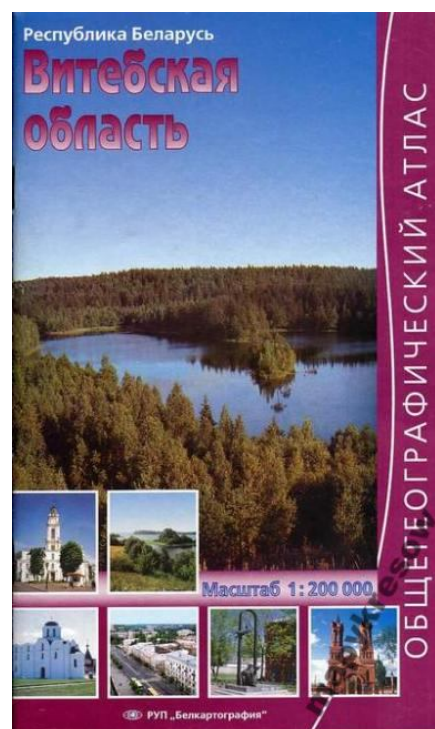
- Wołpa - kościół katolicki pw. św. Jana Chrzciciela, największy na Białorusi kościół drewniany



- Diatlowo czyli Zdzięcioł - cerkiew Przemienienia Pańskiego, czyli z rosyjska Spaso-Prieobrazienskaja, pierwsza spotkana przez nas na wyprawie drewniana cerkiew oraz kościół katolicki pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, który urzeka nas swoim wnętrzem
- Ochonowo - maleńka, stojąca na odludziu drewniana cerkiewka Św. Mikołaja Cudotwórcy
- Waliewka (Walówka) - drewniana cerkiew pw. śś. Piotra i Pawła z 1685 r., kiedyś (do 1835 r.) będąca kościołem katolickim...
- Lida - barokowy, murowany kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, w której trafiamy akurat na mszę w języku polskim...
- Lubań - drewniana cerkiew bliżej nieznanego przez nas wezwania
- Iża - drewniana cerkiew Świętego Józefa położona w sąsiedztwie kołchozu, do której właśnie jak zajechaliśmy schodziły się kobiety na poranne, piątkowe nabożeństwo
- Świr - drewniana molenna staroobrzędowców Zaśnięcia Bogarodzicy oraz murowany kościół katolicki pw. Św. Mikołaja przerobiony w 1962 r. na montownię traktorów, w 1990 r. oddany wiernym, górujący nad niską zabudową tego uroczego miasteczka
- Niwniki - drewniana molenna staroobrzędowców położona jak to zwykle ze starowierami bywa za wsią...
- Słobódka - monumentalny kościół pw. Serca Jezusa, którego wysokie, śnieżnobiałe wieże były charakterystycznym, widocznym z daleka elementem miejscowego krajobrazu
- Bułowiszki - drewniana molenna staroobrzędowców przerobiona na świątynię ze starej, wiejskiej chaty do której przybudowano czworoboczną wieżę zwieńczoną niewielką kopułą
- Brasław - wymurowany z czerwonej cegły i ozdobiony techniką tzw. rodzynekową kościół katolicki pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny z cudownym obrazem Matki Bożej Brasławskiej. Kościół ten jest ośrodkiem życia polskiego w mieście oraz za sprawą cudownego obrazu celem licznych pielgrzymek...



43



<sup>43</sup> Świetny przewodnik Grzegorza Rąkowskiego oraz niezły atlas białoruskiego wydawnictwa Belkartografija w skali 1:200 000 z których korzystaliśmy.



44



45

<sup>44</sup> Mały przegląd najpiękniejszych zabytków sakralnych, które widzieliśmy po drodze.

<sup>45</sup> W cerkwi św. Józefa w Iży.

I wiele, wiele innych... Z racji tego, że nie piszę tutaj przewodnika tylko zwykłą opowieść o pewnej wyprawie na tej liście poprzestaną. Ktoś patrząc na ilość odwiedzonych przez nas kościołów i cerkwi może pomyśleć, że jechaliśmy niejako ich śladem. Nic bardziej mylnego... Owszem, posiłkowaliśmy się wziętymi na wyprawę dwoma przewodnikami pana Grzesia Rąkowskiego więc jak gdzieś już zajechaliśmy to grzechem było opuszczać owe miejsce nie oglądając tego i owego, ale nie od razu, że była to jakaś pielgrzymka...

W Lubaniu kupiliśmy sobie z Jarkiem na wieczór po dwa piwa marki Krynica. Wojtek nie przepadał za piwem, ale za to my nadrabialiśmy to z nawiązką. Po drodze, zazwyczaj w porze obiadowej po browarku gdzieś pod sklepem, a wieczorem to już był stały rytuał... Lidskoje, Krynica, Bobrow... Miło było usiąść sobie na trawie po całym dniu jazdy i popijając białoruskie jasne zimne oraz patrząc w księżyc i gwiazdy zaplanować kolejny dzień...

Na początku trochę baliśmy się pić piwo w czasie jazdy. Na Ukrainie wiedzieliśmy, że nie ma z tym problemu, co do Białorusi pewni nie byliśmy, czy aby tak jak u nas nie jest to przypadkiem zakazane. I dalej prawdę mówiąc nie wiemy jak tam z tym jest naprawdę... Nie ma to już znaczenia, bowiem nikt nas nie zatrzymał, bo i komu zresztą chciałoby się zaczepiać na tych odludziach, którymi jechaliśmy, utrudzonych rowerzystów z Polski, którzy gasili pragnienie sierpniowego słońca gdzieś wypitym po drodze piwem...

Nocleg nad rzeką Narocz przed wioską Koroliewcy pierwsza klasa! Wyczał je Jarek, który miał z naszej trójki najlepszą intuicję jeśli chodzi o wynajdywanie "ładnych" miejsc noclegowych. Rzeczywiście, było to chyba najładniejsze miejsce na którym nocowaliśmy na Białorusi. Przestrzenna łąka, miękka, równa trawa prawie jak z golfowego pola albo piłkarskiego boiska, czysta rzeka, piaszczysty brzeg i nikogo w pobliżu. Czego można więcej chcieć? Zabrakło tylko ładnej pogody na to, aby wskoczyć przed spaniem i zanurzyć się w tej malowniczej rzece... A taką miałem na to ochotę!



46

<sup>46</sup> W Wilejce na ulicy Pierwomajskaje na szarym, postradzieckim bloku kolejna perła białoruskiej reklamy...



47



48

---

<sup>47</sup> Najpiękniejsze miejsce na którym nocowaliśmy na Białorusi, nad rzeką Narocz...

<sup>48</sup> A to miejsce drugie – na Brasławszczyźnie nad jeziorem we wsi Zamsze.

14 sierpnia 2009

## Świr, droga do Stańczyk i jezioro Narocz

Wstaliśmy przed 8 czasu białoruskiego (w Polsce dochodziła właśnie 7, na Białorusi w porównaniu do czasu polskiego jest godzina „do przodu”...). Trzy godziny później jechaliśmy już okrążając Jezioro Wiszniewskie w kierunku Świra. Byłem bardzo podniecony bo wjechaliśmy w region Białorusi, który zawsze chciałem zobaczyć i który dla mnie osobiście był głównym celem tej wyprawy...

Ten region to północne krańce dawnej Rzeczypospolitej, "kresy kresów" ciągnące się od Świra aż po Brasław i granicę białorusko-łotewską...

Droga ze wsi Goriany do Świra to ciągnąca się brzegiem długiego na blisko 15 km Jeziora Świrskiego grawijka. Niezwykle urokliwa trasa z widokiem na jezioro, ale abyśmy w pełni mogli oddać się jej urodzie zabrakło tylko dobrej nawierzchni. Znowu garbaty szutr i chmury szarego pyłu, który zostawiały za sobą, a tym samym i na nas przejeżdżające tędy (na nasze szczęście rzadko) samochody...



49

To co robił Jarek na grawijce kiedy zgłodniał przejdzie zapewne do historii... Szutrowe odcinki pomiędzy poszczególnymi wioskami (a co za tym idzie sklepami i jedzeniem) ciągnęły się nierzadko godzinami i można było zgłodnieć to fakt. Widać różnie to na każdego działa... Na Jarka głód działał jak doping. Włączał wtedy jakieś niespożyte zapasy energii i gnał do przodu po porytej nawierzchni jakby jechał po gładziutkim asfalcie. Nie nadążaliśmy za nim... Staraliśmy się bardzo dotrzymać mu kroku, ale

---

<sup>49</sup> Znowu garbaty szutr i chmury szarego pyłu, który zostawiały za sobą przejeżdżające samochody...

pomimo tego, że dawaliśmy z siebie niemalże wszystko to dystans między nami zamiast się zmniejszać to wzrastał. Czasami do tego stopnia, że traciliśmy Jarka z oczów i musiał na nas czekać żebyśmy się gdzieś nie pogubili... To dziwne, ale działo się to tylko wtedy kiedy Jarek był głodny. Z uśmiechem patrzyliśmy wtedy na niego jak delikatnie wysuwa się do przodu, potem coraz bardziej i bardziej... "Ooo, Jarek zgłodniał..."

Nazwaliśmy Jarka "Królem grawijki"... Rzeczywiście sam Lance Armstrong miałby problemy z doścignięciem Jarka, kiedy chciało mu się jeść...



50

Świr był dla mnie najpiękniejszym i najbardziej klimatycznym miasteczkiem z tych, które widzieliśmy na Białorusi. Zdecydowana w tym zasługa jego położenia - Świr położony jest cudnie u brzegów Jeziora Swirskiego, tak, że jego wody niemalże wypływają pod gospodarstwa i budynki leżące po prawej stronie długiej ulicówki biegnącej przez sam środek miasteczka. Domy tutaj są przeważnie drewniane, wiekowe już, niektóre z pięknie zdobionymi okiennicami i drzwiami... W miasteczku stoją dwie świątynie. Pierwsza z nich to drewniana molenna staroobrzędowców, a druga to kościół katolicki św. Mikołaja, o który mieszkańcy Świru stoczyli zaciekły i zwycięski bój z władzą radziecką, która w 1962 r. przerobiła kościół na montownię traktorów. Jest też przystanek autobusowy i kilka sklepów...

Same miasteczko ma ten trudny do opisanie senny, kresowy nastrój... Przybywasz tam z zewnątrz, patrzysz na tych nie śpieszących się nigdzie ludzi wokół których panuje jakaś specyficzna aura i myślisz sobie czy to sen czy jawa... Takie miejsca działają na mnie w sposób niemalże magiczny! Włącza mi się wtedy jakaś dziwna tęsknota i osobliwa nostalgia za czymś bliżej nieokreślonym, której poddaję się zresztą z wielką

---

<sup>50</sup> To co robił Jarek na grawijce kiedy zgłodniał przejdzie zapewne do historii...

przyjemnością. Zrozumią to tylko ci, którzy kiedykolwiek tak jak ja owego błogiego stanu w tych małomiasteczkowych, klimatycznych, sennych miejscowościach doświadczyli...



51

Pierwsze banie zobaczyliśmy tuż przed Świrzem. W tej części Białorusi bania zastępuje zwykłą łaźnienkę. Nie ma tu kanalizacji ani bieżącej wody więc mieszkańcy północnej Białorusi kąpią się właśnie w robionych przez siebie łaźniach parowych.

Bania to zazwyczaj niepozorny, drewniany budynek, wyglądający jak zwykła przybudówka na drzewo i węgiel z piecem kamiennym w środku. Nic szczególnego na pierwszy rzut oka... Rozpala się (przeważnie w sobotę) pod piecem, kamienie rozgrzewają się wtedy do czerwoności i kiedy temperatura wewnątrz sięgnie 70-80 stopni Celcjusza dopiero wtedy wchodzi się do środka i zaczyna się "kąpiel". Słowo "kąpiel" nie jest tu na miejscu, bo mycie w bani przypomina raczej obrzęd z całym rytuałem polegającym na smaganiu się nawzajem brzożowymi witkami, polewaniu się na przemian zimną i gorącą wodą (w zimie wyskakuje się z bani i tarza wprost na śniegu), akcesoriami (jak owe brzożowe witki i specjalne skórzane czapy, które zakłada się aby gorąc nie lał tak w głowę...) i specjalnymi porzekadłami. Ileż więcej w tym romantyzmu i uroku w porównaniu do naszego "prysznic", który bierze się zazwyczaj "na szybko"!

Ten kto był tylko w saunie, a nie w zwykłej, tradycyjnej, ruskiej bani jej swistego klimatu i "dziwnych" praktyk pewnie nie zrozumie... Ale tak właśnie tutaj myją się ludzie od wieków. Już w początkach naszej ery święty Andrzej w czasie swojej apostołskiej podróży na wschód był poruszony sposobem w jaki myją się i chłuszczą brzożowymi witkami mieszkańcy tych terenów. Tak pisał po przyjeździe do Rzymu: "Zadziwiające rzeczy widziałem u Słowian po drodze... Widziałem drewniane banie, rozpalone do

---

<sup>51</sup> W Świrze

czwoności i ludzi w nich, rozebranych do naga, którzy się oblewali kwasem garbarskim i unosili nad sobą witki młode, i bili sami siebie dotąd, aż z trudem wyłazili, ledwie zipiąc, i oblewali się zimną wodą, i tylko tak ożywali..."



52

Droga do Stańczyk była prawdziwą przygodą, kwintesencją naszej wyprawy i wszystkim co najlepsze w turystyce, nie tylko tej rowerowej... Tutaj kupiona w Grodnie mapa w skali 1:200 000 (czyli bardzo przyzwoita) okazała się w tej gęstwinie puszczańskich drózek i ścieżek zupełnie nie przydatna. Musieliśmy zdać się więc tylko na własną intuicję i zdrowy rozsądek...

Zacęło się niezbyt dobrze - jadąc jako pierwszy zarośniętymi łąkami gdzieś za Grumbiniantami w poszukiwaniu właściwej ścieżki do Stańczyk wjeżdżam na leżący i ukryty w głębokiej trawie drut kolczasty i przebijam przednią dętkę. To pierwsza "guma" tej wyprawy...

W końcu znaleźliśmy jakąś drogę. Ale czy prowadzi ona tam gdzie chcemy dotrzeć? Nie jesteśmy tego pewni, ale jedziemy twardo do przodu... Po kilku kilometrach w środku lasu, na polanie pojawia się przed nami nagle samotny, nie ogrodzony dom z bali i stojąca nieopodal bania. W ich obejściu kręcą się dwie, na oko 35-letnie kobiety. Co one tutaj, w tej odludnej puszczy same robią? - przemknęło mi od razu przez myśl... Pytamy o drogę, dostajemy cenne wskazówki, jedziemy dalej...

Las staje się coraz gęściejszy, ciemniejszy. Jest w nim kilka wydeptanych ścieżek i po pewnym czasie znowu nie jesteśmy pewni czy jedziemy dobrze. W końcu droga się

---

<sup>52</sup> Charakterystyczny widok drewnianej bani stojącej zazwyczaj w pobliżu jeziora lub rzeki. Obyczaj nakazuje wyskoczyć z rozgrzanego pomieszczenia i zanurzyć się od razu w lodowatej wodzie.



kończy i zamienia w strumień... Wszystko w porządku, o tym strumyku mówiły spotkane kobiety... Zdejmujemy buty, podwijamy spodnie i przepławiamy się na drugi brzeg. Wody niewiele, po kostki, ale zimna jak cholera... Znowu wsiadamy na rowery i brniemy w coraz to gęściejszy las... Patrząc na mapę - znajdujemy się teraz w samym sercu rozległego Nacjonalnyjego Parku Narociańskijego... Jak zabłądzimy może być z nami krucho, szczególnie, że już późno, grubo po 16-tej... Kilka kilometrów dalej wjeżdżamy na prowizoryczny, drewniany most. Teraz jesteśmy pewni, że jedziemy dobrze, o moście również wspominały kobiety z samotnego domu...



53

Stańczyki to mała, rozrzuciona wieś leżąca w samym środku tej puszczy. Ciężko tu trafić. Zdaje się jakby wioska leżała gdzieś na końcu świata, do której drogę znają tylko miejscowi. My trafiamy jedynie na obrzeża wioski, gdzie widzimy drewnianą chatę w budowie. I nie byłoby nic w tym szczególnego, gdyby nie oryginalny sposób uszczelniania tegoż domu... Ściany wykonane są z prostych, sosnowych desek, a szczeliny pomiędzy nimi uszczelniono wysuszonym mchem-torfowcem. Widzimy coś takiego pierwszy raz, ale tak zapewne uszczelnia się domy w tych okolicach od stuleci...

Wracamy, przekraczamy znowu ten drewniany, prowizoryczny most na Łyntupce i wjeżdżamy w gęstwinię wysokich traw i trzcinowisk kierując się dalej i ufając wyłącznie swojej intuicji. Tym razem intuicja nas zawodzi i błądzimy. Nie wiadomo którądy teraz... Mam w zanadru "asa w rękawie" (przysłowie przezorny zawsze ubezpieczony nie sprawdza się w takich miejscach...) na taką okoliczność w postaci wojskowej mapy topograficznej tych terenów, której skany wgrałem do gps-a w mojej Nokii E61. Mapa dokładnie wskazuje nam drogę, która prowadzi do Popowców, a stamtąd już będzie prosto... Niestety nie ma tak lekko i łatwo jakbyśmy sobie tego życzyli i droga ta,

---

<sup>53</sup> W czasie drogi do Stańczyk przepławiamy się przez płynący drogą szeroki, leśny strumień...

owszem była, ale na początku lat 80-tych, w czasach kiedy tą mapę wojsko kreśliło... Teraz zarosła i jest praktycznie nie do przebycia. Jednak próbujemy zagłębiając się coraz to bardziej w bagiennej puszczy do czasu kiedy jest to już zwyczajnie niemożliwe. Odwrót...



54

Wybraliśmy inny kierunek. Również nie ten... Tutaj "asem w rękawie" zamiast gps-u byłby zapewne porządny kompas... Najpierw dojechaliśmy do samotnego, nie ogrodzonego domu (tutaj mało kto zagradza podwórko, bo i po co? Nie wiem czy był tu ktoś "z zewnątrz" przed nami...). Jego właściciel zapewne gdzieś wyjechał bo nie było tutaj nikogo oprócz oszczekujących nas psów. Chwilę potem mamy następne spotkanie, tym razem z jurnym bykiem, który sady się najpierw na Jarka, potem na mnie. Wojtek jest ostrożniejszy i stado pasących się krów omija szerokim łukiem...

Skończyło się dobrze. Ze spotkania z bykiem wyszliśmy cało. Strachy na lachy jak to mawiają. Sadył się to prawda, ale albo on się nas przestraszył, albo my byliśmy tacy twardzi... W każdym razie na szczęście zrezygnował... Niedługo po tym spotkaniu znaleźliśmy w końcu leśny, prosty dukt, który zaprowadził nas do Popowców, gdzie były już znamiona cywilizacji i ludzie, których mogliśmy spytać o dalszy kierunek. Prawdę mówiąc trochę spękałem (Wojtek z Jarkiem do tej pory o tym nie wiedzą, bo starałem się robić "dobrą minę do złej gry...") gdyż robiło się już późno i co jakiś czas powracała jednak myśl o tym, że będziemy zmuszeni nocować dzisiaj w tej odludnej, głuchej puszczy bez jedzenia i wody...

---

<sup>54</sup> Czy droga ta prowadzi tam gdzie chcemy dotrzeć? Nie jesteśmy tego pewni, ale jedziemy i czasami idziemy twardo do przodu...



55



56

---

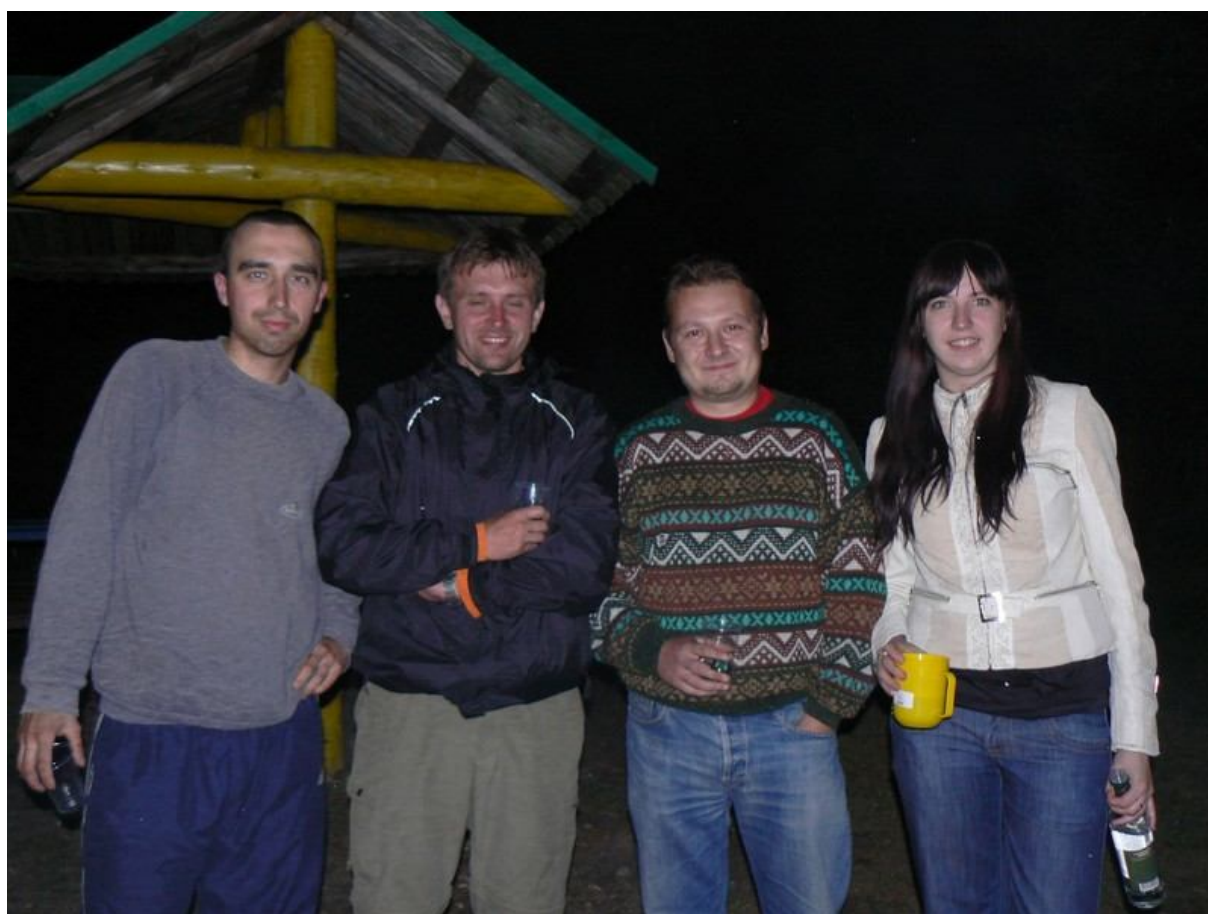
<sup>55</sup> Błądzimy i myślimy już o tym, że będziemy zmuszeni nocować dzisiaj w tej odludnej, głuchej puszczy...

<sup>56</sup> Ten byczek sadył się na nas to prawda, ale albo on się nas przestraszył, albo my byliśmy tacy twardzi...

Kiedy dojechaliśmy do Naroczy było już późno. Rozbiliśmy się na polu namiotowym, gdzie było gwaro, głośno i ludno. Był piątek, zaczynał się weekend, a młodzież jak to młodzież wszędzie taka sama i zabawić się gdzieś musi...

Rozpaliliśmy ognisko. Nasze pierwsze i ostatnie ognisko na białoruskiej ziemi. Od razu znaleźliśmy przyjaciół, przynajmniej tak nam się zdawało...

Para z Mińska dołączyła do nas z flaszką ichniejszej wódki. Nie zabawili za długo... Chłopak był w ogóle jakoś mało aktywny, zgrywał szachę-wirachę, wielkiego informatyka ze stolicy. Jego dziewczyna za to polewała... Sprawiali wrażenie jakby dołączając do nas i wypytyując skąd jesteśmy i dokąd jedziemy spełniali jakiś obowiązek. Do dziś trudno oprzeć mi się wrażeniu, że byli to... szpiedzy ☺. Wypiliśmy wspólnie po dwa sztakany czystej, ale rozmowa nie kleiła się za bardzo więc pewnie stwierdzili, że szkoda na nas tej wódki, bo i tak z nas nie wyciągną potrzebnych im informacji... Dziewczyna kilka razy zachichotała jakoś niewyraźnie, spojrzała na swego chłopaka, który w tym samym czasie spoglądał na nas znudzonym już wzrokiem i opuścili nas tak szybko jak się pojawili...



57

Kiedy już mieliśmy kłaść się spać przyjechały dwa auta załadowane młodzieżą. Myśleliśmy, że zaraz odjadą. Niestety... Przez następne trzy godziny (do jakiejś 2 nad ranem) rozbijali swoje namioty pobudzając się alkoholem i białoruską młodzieżową, dyskotekową muzyką na fulla płynącą z samochodowego radia. Nic bym sobie z tego nie robił, gdyby nie fakt, że postanowili akurat rozbić się w naszym bliskim sąsiedztwie... Pomyślałem - nigdy więcej kempingów! To była najgorsza noc tej wyprawy...

---

<sup>57</sup> Do dziś trudno oprzeć mi się wrażeniu, że spotkana na kempingu w Naroczy para z Białorusi była... szpiegami ☺

Wybraliśmy ten kemping z dwóch powodów. Po pierwsze robiło się już późno, a w turystycznych miejscowościach znaleźć coś fajnego na szybko jest ogromnie trudno. Po drugie - nie ukrywam - liczyliśmy po cichu na wieczorną integrację z wypoczywającymi tam młodymi białorusinami. Okazało się po raz kolejny, że nie jest to takie proste...

Brak nowych znajomości zawiązanych gdzieś po drodze z perspektywy czasu uważam za największą porażkę tej wyprawy. Po części sami byliśmy sobie winni nocując przeważnie z dala od ludzi, ale także sama, dość mało otwarta natura białorusinów to sprawiła. Rzeczywiście mało kogo interesowało co my za jedni i dokąd jedziemy... Jedyne w pierwszych dwóch dniach naszego pobytu na Białorusi wzbudzaliśmy pewne zainteresowanie, szczególnie u kobiet w wieku mocno emerytalnym. W następnych dniach nawet w tym przedziale wiekowym nie mieliśmy "wzięcia"... Owszem, spotykaliśmy się na każdym kroku z życzliwością i uprzejmością, ale nie było to takie otwarte, wylewne i spontaniczne jak nieraz doświadczyłem tego podróżując rowerem po wschodniej Polsce, Ukrainie czy Rumunii...

Jeśli chodzi o otwartość i spontaniczność w podejściu do "obcego" to Białoruś bardziej przypominała mi państwa zachodnie, gdzie zawsze czuć jakąś rezerwę i dystans w kontaktach z "nowym"... Kiedy w czasie wyprawy do Rumunii w 2000 roku wraz z Andrzejem gdzieś się zatrzymaliśmy zawsze stanowiliśmy nie lada atrakcję. Od razu wokół nas zbierała się grupka ciekawskich, którzy zadawali mnóstwo pytań... Czasami było to nawet uciążliwe, ale bardzo mile to teraz wspominamy. Na Białorusi nikogo nie interesowaliśmy... Tak jakby widok trzech strudzonych, obciążonych bagażami rowerzystów z Polski przemierzających Białoruś był widokiem niemalże codziennym...



58

---

<sup>58</sup> Szkoda, że zabrakło tylko dobrej pogody na to, abyśmy w Naroczy mogli się wykąpać.

15 sierpnia 2009

## Magia ruskiej bani i początki jezior Brasławskich

Po drodze wiadomo, gadaliśmy o różnych sprawach... Już na początku wyprawy Jarek poruszył temat chińskiego badziewia zalewającego nasz rynek. I co? I wykrakał...

Najpierw jego nowy, kupiony tuż przed wyprawą materac samopompujący dostał dziwnego wybrzuszenia, które z dnia na dzień robiło się coraz większe... Patrzymy na metkę - "Made in China". Ok, zdarza się...

Dzisiaj rano słowa Jarka o chińszczyźnie nabrały jeszcze większej mocy. Przy składaniu naszego namiotu markowej podobno firmy Fjord Nansen odkryliśmy pęknięty maszt. Ostatniego dnia wyprawy pęknie drugi... Na metce - "Made in China"... Powoli robi się to regułą... Na szczęście ratuje nas super taśma Wojtka, którą owijamy pęknięte miejsca. Namiot nie stoi już prosto, ale stoi - to najważniejsze... Chińskie maszty wytrzymały dokładnie 10 nocy...

Jezioro Narocz zwane jest inaczej "kresowym morzem". Przed II wojną światową było to największe jezioro w Polsce, dziś jest największym na Białorusi... 8 tysięcy hektarów, z zachodu na wschód o długości 13 km, a z północy na południe 10 km... Nazwa "kresowe morze" niezwykle pasuje do tutejszego krajobrazu, który nie odparcie przywołuje skojarzenia z morskim wybrzeżem. Ogromna, otwarta przestrzeń wody, która nigdy nie bywa spokojna, brzegi z piaszczystymi plażami, urwiste klify i wypłukane z nich przez fale głazy...



59

---

<sup>59</sup> Jezioro Narocz zwane jest inaczej "kresowym morzem".

Szkoda, że zabrakło tylko dobrej pogody na to, abyśmy w Naroczy mogli się wykapać. Owszem świeciło słońce, ale wiał zimny, północny wiatr... Co tu dużo gadać chłodno było i tyle... Weszliśmy tylko po kolana do czystej, błękitnej wody o kamienistym, ostrym dnie abyśmy później mogli się wymądrzać, że zamoczyliśmy się w Naroczy. A woda była lodowata...

Przed drogą do Postaw robimy tradycyjne zakupy. Po piwie i dużo, dużo słodczy... Krówki, czekolady, wafle "Artki"... Właśnie - białoruskie słodczy! Czego jak czego, ale tych w białoruskich sklepach nie brakuje! Ojedliśmy się słodkości za czasy wszystkie... Rzeczywiście, słodczy mają naprawdę dobre, a przy tym bardzo tanie.

Skoro już jest mowa o tym co ze zwykłego, białoruskiego "spożywczaka" jedliśmy najchętniej to muszę wspomnieć o ichniejszym chlebie. Białoruski chleb to naprawdę chleb! Ciężki, pożywny, pyszny. Taki chleb u nas pamiętają tylko starsi ludzie, bowiem tylko wtedy, w czasach, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o Unii Europejskiej i globalizmie, w wiejskim, domowym zaciszu wypiekały takie chleby nasze prababcie...

Prawie 30 km z Miadziołu do Postaw jedziemy ponad dwie godziny pod zimny, silny wiatr. Ciężko nam kręcić, ciężko i ze sobą gadać, bo wiatr zagłusza słowa. W milczeniu kręcimy więc przed siebie...



60

---

<sup>60</sup> Prawie 30 km z Miadziołu do Postaw jedziemy ponad dwie godziny pod zimny, silny wiatr. Ciężko nam kręcić, ciężko i ze sobą gadać, bo wiatr zagłusza słowa. W milczeniu kręcimy więc przed siebie...

Wcale nie unikalną, zabytkową zabudowę postawskiego rynku (obecnie placu Lenina), która jako jedna z nielicznych na Białorusi ocalała przed "upiększaniem" radzieckich architektów zachowując dzięki ocalałym budynkom swój dawny XVIII wieczny wygląd zapamiętamy z Postaw najbardziej. To miasto będzie zawsze kojarzyło nam się raczej ze strasznie obskurnym wnętrzem miejskiej bani. Tak obskurnym, że mieliśmy obawy tam wchodzić. Pomimo tego odważyliśmy się...

Gorodskaja bania w Postawach czynna jest tylko przez dwa dni w tygodniu. W piątek dla kobiet, w sobotę dla mężczyzn. Była właśnie sobota i jam nie chwaląc się na ten pomysł wpadł...



61

Zapłaciliśmy po 3500 rubli biletu na głowę. Byłem już wcześniej w bani, ale takiej rodzinnej, drewnianej, na wsi, ale nigdy jeszcze w miejskiej kąpiąc się z połową miasta! Bo do bani w Postawach w piątki i soboty schodzi się całe miasto. Zwyczajowo, od pokoleń...

Na początku nie wiedzieliśmy jak się zachować. Weszliśmy na piętro zagrzybionym, mrocznym korytarzem, który zaprowadził nas do równie obskurnej rozbieralni, w której stały pomalowane na niebiesko, ponumerowane szafki, a na każdej z nich aluminiowe misy. Tam latało kilku gołych facetów dysząc przy tym wymownie, gadając coś po rusku, a jeden z nich popijając piwo palił papierosa. Jak zwykle nikt nie zwrócił na nas specjalnej uwagi. Ot, przyszli sobie to i zaraz sobie pójdą... Jak to obcy - długo w bani nie wytrzymają...

---

<sup>61</sup> Do bani miejskiej w Postawach w piątki i soboty schodzi się całe miasto. Zwyczajowo, od pokoleń...



Najpierw do rozbuchanego pomieszczenia pariłki (czyli łaźni parowej, najważniejszej części bani) weszli Wojtek i Jarek, ja zaś zostałem w rozbieralni pilnować dobytku. Siadłem, otworzyłem sobie piwo i patrzyłem tak ciekawo na wchodzących i wychodzących z pomieszczenia, z którego buchała para niczym nie skrzepowanych gołych facetów. Patrzyłem na to co robią, zastanawiając się przy tym do czego mogą służyć te aluminiowe miski, które za każdym razem wnoszą i wynoszą, aby jak przyjdzie moja kolej nie dać plamy.

Pierwsze wejście chłopaki mieli dość szybkie. Po trzech minutach byli z powrotem. "Eee tam, a mówiłeś, że w tej bani będzie tak gorąco...". Okazało się, że mieli mały falstart i weszli do przedpariłki (klasyczna ruska bania jest hierarchiczna, czyli najpierw rozbieralnia, potem przedpariłka, ot taka duża, nagrzana łaźienka i pariłka, czyli łaźnia właściwa, serce bani...) myśląc, że to jest już to... Za drugim razem kiedy wrócili po dziesięciu już minutach o mało ich nie poznałem...

Powiem tylko tyle, że kiedy ja w końcu wszedłem do pariłki natychmiast od uderzenia gorąca zaczęło łomotać mi serce, zakręciło mi się w głowie i zrobiło ciemno przed oczami. Machałem bezwładnie rękami jakbym odganiał muchy i jakby mogło mi to w czymś pomóc... Obok mnie stało jak gdyby nigdy nic dwóch starszych panów, którzy patrząc na mnie z politowaniem śmiali się ze mnie serdecznie, smagając się przy tym nawzajem brzołowymi witkami. A ja z minuty na minutę coraz bardziej już nie wiedziałem co się ze mną dzieje, ale chciałem być twardy i nie zrobić obciachu więc siedziałem w środku pariłki za pierwszym razem całe pięć minut. Tyle wytrzymałem... Do czasu kiedy stwierdziłem, że może to być dla mnie już zwyczajnie niebezpieczne...

Za drugim wejściem schytryłem się. Wziąłem sobie tą aluminiową miskę z przydziału, nalałem tam zimnej wody i wszedłem z tą miską jeszcze raz do pariłki. Teraz można było posiedzieć! Jak robiło się za ciepło wylewałem sobie trochę zimnej wody na łeb i siedziałem dalej. Ba, nawet wzorem moich towarzyszy smagałem się owymi witkami. Przyznam uczciwie, że bardziej z folkloru niż z potrzeby... Myślałem, że wszystko robię dobrze, ale oni jeszcze bardziej się ze mnie śmiali...

Teraz wiem już dlaczego... Bo mycie w bani to obrzęd, rytuał pewien. I od razu widać tutaj cudzych, nieobytych...

Jakiś czas po wyprawie trafiłem na książkę Mariusza Wilka o Sołowkach. Mam już taki charakter, że jak za coś się już wezmę staram się robić to dokładnie i najlepiej jak umiem. W tym przypadku nie umiem więc pozwólcie, że dla lepszego zrozumienia czym jest prawdziwa, miejska, ruska bania przytoczę tutaj Wilka, który zrobił to doskonale we fragmencie swojej książki „Wilczy notes”:

"W ruskiej bani bywa tyle pary, że czasem trudno cośkolwiek tam dojrzeć-rzeczy wyłaniają się znienacka, z kłębow wilgoci: to twarz, to zad, to miednica czyjaś...

Na Sołowkach żyje ponad tysiąc ludzi, z różnymi biografiami-jakby z różnych światów wychynęli lub z różnych opowieści. Ale w bani myją się pospołu, tu ich losy się krzyżują-w jednej parni. Tu muzyki z toni przyjeżdżają, by wypić pod świeżą rybę... Tu przychodzą zwolennicy reform i stronnicy silnej ręki, i prawosławni, i lewoskrętni, i niewierzący doszczętnie, a na jednej półce polegają i byli zeka, i ich nadzorcy, i stróże porządku, i gwałciciele tegoż, i wszyscy goli. Jedni się chlaszczą witkami z brzozy, inni gałązkami jałowca, a stary Doncow pękami pokrzyw, to na reumatyzm pomaga. Tu świeże plotki można pleść, i o rybach pogawędzić, i o babach, i o chorobach, i o nierobach. Bo bania i za klub służy, i za kafejkę, i za ambonę, i za trybunę. Tutaj agituja, prawia i knują, i popijają, i zagryzają. W bani wieści się rozchodzą, jak para, i jak para zasnuwają oczy..."



62



63

- 
- <sup>62</sup> Postawy będzie zawsze kojarzyło nam się od tej pory ze strasznie obskurnym wnętrzem miejskiej bani.  
<sup>63</sup> Tak obskurnym, że mieliśmy obawy tam wchodzić. Pomimo tego odważyliśmy się...

Cóż ja mogę o bani powiedzieć? Ja, który w Postawskiej bani byłem tylko z ciekawości, który jej zaledwie spróbowałszy chyłkiem się z niej wymknąłem? Nie będę opowiadał przecież niestworzonych rzeczy, których nie doświadczyłem na skórze własnej...

W każdym bądź razie w bani miejskiej w Postawach podobało nam się bardzo... Skorzystawszy z bani raczej pośpiesznie (żeby bania odniosła zamierzony efekt oczyszczający ciało i ducha trzeba posiedzieć tam kilka godzin, nieśpiesznie korzystając przez ten czas kilka razy z pariłki) zakulbaczyliśmy i ruszyliśmy w dalszą drogę do Braśławia, do którego zostało nam jeszcze 80 km.

Znowu ten zimny, silny wiatr wiejący w kierunku dokładnie przeciwnym do kierunku naszej jazdy... Na okolicznych polach spóźnione żniwa, czasami udaje nam się więc schować przed wiatrem w tunelu za wracającym do kołchozu kombajnem...



64

Skoro o kombajnach mowa to trzeba przyznać, że ich dizajn od czasów czerwonych Białorusi masowo zalewających polski rynek do końca lat 80-tych mocno się zmienił. Teraz białoruskie kombajny, traktory i inne maszyny rolnicze wyglądają nowoczesnie i śmiało mogą stanąć koło takiego Massey'a Fergusona czy John Deere na przykład. Ale może nie wygląd jest w tym wszystkim najważniejszy, a to, że na Białorusi widzieliśmy tylko i wyłącznie sprzęty i maszyny rolnicze białoruskiej produkcji i widzieliśmy ich naprawdę dużo. Fakt, że większość z nich należała zapewne do kołchozu i państwa, ale takich obrazków jak chłop orze pługiem ziemię na Białorusi nie spotkaliśmy. Kiedy byłem kilka miesięcy wcześniej na zachodniej Ukrainie był to widok powszechny...

---

<sup>64</sup> Udaje nam się przez chwilę schować przed silnym wiatrem za jadącym kombajnem.

Kilka kilometrów za Postawami przy drodze pierwsza ostrzegawcza tablica. Wielki napis na żółtym tle: "Wnimanije! Pogranicznaja zona. Projezd (prochod) po propuskam!" To samo w angielskim i po litewsku... Oni chyba ocieplieli! Przecież nie będziemy się wracać teraz do Postaw i szukać jakieś tam przepustki! Jedziemy! Mądrzejsi doświadczeniem meldunkowym specjalnie się tym nie przejmujemy, że wjeżdżamy w przygraniczną strefę i że potrzebujemy na to bumażki. Bez niej przebywanie w strefie jest co prawda zakazane i grozi siermiężnym mandatem, ale wisi nam to i powiewa...



65

Do dzisiaj nie wiem czy była to zasługa relaksacyjnego działania bani czy czegoś innego, ale byliśmy wtedy wyluzowani jak nigdy i pruliśmy do przodu... Byliśmy już na Białorusi cały tydzień i czuliśmy się widać coraz pewniej...

Udało się! Nikt nas nie zatrzymał, milicja ani straż graniczna nas nie mijąca... Przejechaliśmy w strefie grubo ponad 20 km i... nic. Jest dobrze.

Za Kozianami i przygraniczną zoną zaczął się już park narodowy "Braslawskije Oziera". Wybieramy szutrową drogę przez sam jego środek, nudną jak cholera. Ale kto mógł wiedzieć? Na mapie wyglądała ładnie więc myśleliśmy, że znowu będzie trochę przygody jak na tej wczorajszej do Stańczyk. Ale droga ta okazuje się "od linijki" zrobiona i chociaż biegnie przez sam środek puszczy widoków puszczańskich na niej tyle co kot napłakał...

Krajobraz poprawia się 15 km dalej, za wsią Milaszki. Tam co kilometr lub dwa jakieś jezioro, malownicze wioski... W końcu widać, że to park narodowy...

---

<sup>65</sup> Uwaga! Strefa przygraniczna. Wjazd tylko za specjalnym pozwoleniem. Nie zastosowaliśmy się do tego nakazu, wjechaliśmy w strefę bez wymaganego pozwolenia.

Adam Rączkowski, który odbył kilka fajnych i treściwych wypraw na wschód w jednej ze swoich relacji pisał: „Bardzo podoba nam się ekologiczna reklama na Białorusi. Często przy drogach mijamy kamienie z wypisanymi ręcznie hasłami: "Las twój przyjaciel. Ogień wróg lasu.", "Las naszym bogactwem. Chroń las!", "Ochrona przyrody, ochroną człowieka". Nie wiem ile ta reklama społeczna daje, jednak trzeba przyznać, że lasy białoruskie nie są tak bardzo zaśmiecone jak polskie. Być może jest to efekt propagowania "ekologicznej postawy", słabego zaludnienia kraju, a może po prostu kultury Białorusinów...". Teraz dociera to do mnie – lasy białoruskie są czyste, przystanki autobusowe też, na poboczach nie walają się starty śmieci. Tutaj jest naprawdę czysto!

Do wsi Zamosze dojeżdżamy po 20-ej. Wieś jest porozrzucana i od głównej drogi odchodzi kilka bocznych. Skręcamy w pierwszą lepszą, ale w którą byśmy nie pojechali i tak dotrzemy nad jakieś jezioro bowiem wioska ta jest jakby nimi otoczona.

Za ostatnim domem we wsi jest ładna polana, która schodzi stromo nad malownicze jezioro. Świetne miejsce! Wydaje się jednak jakby należała do kogoś, najpewniej do właściciela stojącego nieopodal domu. Kręcimy się tam przeszło kwadrans szukając dogodnego miejsca do rozbicia namiotów, a pies na podwórku obok mało co nie ochrypnie tak biedaczysko na nasz widok szczeka... Chociaż pali się w domu światło i wiemy, że ktoś musi być w środku nikt z tego domu nie wychodzi "na zwiady", nikogo nie interesujemy, firanki w oknach nie chodzą... Głupio tak rozbijać się na czyjejsi własności idę więc sam zapytać czy można. Dzwonek u drzwi, otwiera gość w średnim wieku. Zagajam i czaruję, że my z dalekiej Polski, na wielospiędkach, chaci pałatku na jedną noc, itd... Gość słucha bardzo uważnie, ja kończę, myślę, zaraz zacznie się pytać o to, o tamto, już przygotowuję się do czarujących odpowiedzi, gdy nagle słyszę to co usłyszałem i uświadamiam sobie w tej samej chwili, że jestem przecież na Białorusi...

"Praszu" - to było wszystko co ten jegomość z siebie wydobyl. Myślę - to żeśmy sobie pogadali! Mamy nocować prawie pod jego oknem, na jego łące, a on "praszu" i to wszystko? Jego pies o mało co nie udusi się na tym łańcuchu, tak chce biedak skoczyć do gardła "obcemu", a on "praszu" i nie uciszając nawet psa, który szczeka nadal zamyka za sobą drzwi jakby nigdy nic...

Białorusini! Nie mówię o szklance zaproponowanej herbaty dla strudzonych podróżników, ale żeby chociaż kopa w dupę i papa... A tu nic, żadnych emocji, żadnego zainteresowania. Beznamiętne "Praszu..."

Pod względem przejechanych kilometrów ten dzień zajął drugie miejsce z wynikiem 111 km. Tak dokładne statystyki nie byłyby możliwe bez licznika Wojtka. Do tej pory, po każdej wyprawie kilometraż czytywałem z map, teraz nie byłoby to możliwe, gdyż te białoruskie mapy którymi się posługujemy zaznaczonego kilometrażu po prostu nie mają. Są więc momenty, kiedy nam się dłuży, podjeżdża wtedy Jarek i pyta "Ile jeszcze do...?" Ciężkie pytanie bo skąd mam to niby wiedzieć? Zgaduję więc, ale robię to "dla podtrzymania ducha w narodzie" sprytnie zaniżając kilometry i dając złudne nadzieje. "A mówiłeś, że zostało tylko..."

Już pierwszego dnia stwierdziliśmy, że z tymi mapami coś nie tak. Nazwy miejscowości były w innym języku niż te na tabliczkach przy drogach. Na mapie po białorusku, na tablicach po rosyjsku. Niby niewielka różnica, ale były momenty, kiedy zastanawialiśmy się, czy aby przypadkiem jedziemy dobrze...

A tak to mapy super! Dobra skala, papier możliwy, jednym słowem mapy dla prawdziwych turystów, których nie interesuje kilometraż ile to wszystko co po drodze...

W rankingu najbardziej malowniczych noclegów ten dzisiejszy zajął by zdecydowanie pierwsze miejsce, gdyby nie pies "rozdaganego" właściciela ów polanki, który darł mordę

całą noc. A tak pierwsze miejsce przypadło w udziale łące nad rzeczką Narocz dwa dni temu...

Nad jeziorem był pomost, stół i ławy. Świętowaliśmy tam 32 urodziny Jarka. Bardzo skromnie, zwyczajnie, jak co dzień... Kolacja, po piwie i spać. Sto lat Jarku!



66



67

---

<sup>66</sup> Nad jeziorem w Zamosze był pomost, stół i ławy. Świętowaliśmy tam 32 urodziny Jarka.

<sup>67</sup> Jarka urodziny świętowaliśmy bardzo skromnie, zwyczajnie, jak co dzień... Kolacja, po piwie i spać.

16 sierpnia 2009

## **W samym sercu Braślawszczyzny**

Pojezierze Braślawskie jeśli chodzi o piękno i ilość jezior w niczym nie ustępuje polskim Mazurom. Ma za to tę wielką przewagę nad nimi, że te braślawskie jeziora są o wiele od mazurskich czystsze... Jakby tego było mało to nie ma tutaj w ogóle turystów ani letników i tak naprawdę właśnie to jest dla nas najbardziej niezwykle.

Braślawszczyzna dlatego bardziej od Mazur przypomina mi Suwalszczyznę. Na naszej Suwalszczyźnie może nie ma tylu jezior co tutaj, ale pagórki równie znajome i krajobraz jakby ten sam... I ten spokój i cisza dookoła...

Do Ikaźni wybraliśmy polną, pofałdowaną drogę, niezwyklej urody. Pozbawioną co prawda lasów, ale za to pełną wzgórz i bagnistych zagłębień. Wybór trasy w czasie wielodniowych wypraw uważam osobiście za najbardziej istotną rzecz, aby wyprawa mogła pozostawić w ich uczestnikach niezatarty ślad. W czasie tej wyprawy ten wybór odbywał się często spontanicznie i było w niej jak w każdej takiej wyprawie trochę loterii, bo przecież nikt z nas wcześniej tu nie był i dróg tych nie znał. Kiedy stawaliśmy gdzieś na rozdrożu i mieliśmy dylemat którą drogę wybrać teraz zdawaliśmy się po prostu na własną intuicję, która nieodparcie podpowiadała nam aby wybierać tę bardziej trudną. I tak jak teraz przy wyborze drogi do Ikaźni tak i wielokrotnie zasada ta przeważnie okazywała się strzałem w dziesiątkę.



68

---

<sup>68</sup> Do Ikaźni wybraliśmy polną, pofałdowaną drogę, niezwyklej urody.

W Ikaźni przy bani nad jeziorem zrobiliśmy sobie dłuższy odpoczynek na kąpiel, obiad i pranie połączone z ładowaniem baterii do aparatu w pobliskim sklepie. Był tam pomost, z którego zapewne korzystali uczestnicy bannieńskich kąpeli wyskakując z rozpalonej łaźni wprost do zimnego jeziora.

Jako jedyny odważyłem się popływać w tym dzikim jeziorze (Wojtek z Jarkiem jakoś nie mieli na to ochoty). Nie było w pobliżu nikogo, absolutna cisza i spokój więc pomimo tego, że był biały dzień kąpałem się na golasa aby nie moczyć bielizny. Zjedliśmy na obiad białoruskie parówki, zrobiliśmy pranie brudnych rzeczy, aby do domu wrócić "świeżymi", wypiliśmy po zimnym piwie i pojechaliśmy dalej polnymi drogami w stronę Niwnik...



69

Niwniki to wieś zamieszkała w całości przez staroobrzędowców, odłam prawosławia słynny ze swojej "odrębności" i radykalizmu o których dużo pisałem w relacjach z poprzednich wypraw (nie będę się znowu powtarzał więc zapraszam na [www.rowerowyparczew.site50.net](http://www.rowerowyparczew.site50.net)). Niwiniki to już trzecia wieś zamieszkała i założona właśnie przez starowierów, którą przez lata odwiedziłem na rowerze. W Polsce są dwie takie wioski: Wodziłki na Suwalszczyźnie oraz Gabowe Grądy niedaleko Augustowa. Na Białorusi takich wsi jest o wiele więcej. Staroobrzędowcy uciekając przed carskimi represjami osiedlali się tam, gdzie władza cara już nie sięgała. Tak właśnie trafili tutaj, na polskie kresy, do malowniczo położonych Niwnik... Co ciekawe, kiedy gdzieś się już osiedlali były to zazwyczaj miejsca odludne, a przy tym atrakcyjne krajobrazowo takie właśnie jak Niwniki... Tam budowali domy, uprawiali pola, a słynni byli z niespotykanej gospodarności i zaradności... Przy tym mężczyźni byli świetnymi cieślami, radzili więc

---

<sup>69</sup> Aby nie moczyć bielizny zupełny brak ludzi w pobliżu umożliwiał czasami kąpiel "na golasa" nawet w biały dzień...



sobie (i radzą nadal, chociaż coraz mniej już z biegiem lat tradycyjnego starowieństwa) znakomicie...

Drewniana molenna (czyli inaczej cerkiew - dla podkreślenia tego, że z tradycyjnym prawosławiem nie mają już nic wspólnego staroobrzędowcy inaczej nazwali swoje świątynie) w Niwnikach jak zwykle była zamknięta. Piszę "jak zwykle" bo przy całym swoim zainteresowaniu staroobrzędowcami nigdy jeszcze nie byłem wewnątrz ich świątyni właśnie z powodu tego, że zawsze były pozamykane i nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby świątynię otworzyć. Przed wyjazdem myślałem, że w końcu uda mi się wejść do środka molenny właśnie na Białorusi. Niestety... W akcie desperacji poszedłem nawet do stojącego nieopodal molenny drewnianego domu zasięgnąć "języka"...

Spotkałem w nim starszą kobietę, która żyła niezwykle ubogo. W drewnianej izbie panował mrok, pachniało stęchlizną i był nieporządek. Spytałem o kogoś kto mógłby otworzyć nam molennę we wsi. Na początku nie mogliśmy się nawzajem zrozumieć, ale w końcu otrzymałem odpowiedź, że klucze ma jedna osoba, ale mieszka ona w sąsiedniej wsi. Nie ma sensu dalej szukać, rezygnujemy więc, mówi się trudno...

Tak łatwo bym pewnie się nie poddał gdyby nie jutrzejsza perspektywa odwiedzenia Bułowiszek, kolejnej wioski staroobrzędowców. Może właśnie tam uda się wejść do molenny? Aby uprzedzić fakty, powiem tylko tyle, że się nie udało. Tam nawet nie było kogo o klucze do świątyni zapytać, gdyż molenna stała daleko za wsią...



70

---

<sup>70</sup> Kiedy spytaliśmy o drogę z Niwnik do Słobódki przez Jawteriszki i Sutorowszczyinę miejscowe kobiety bardzo chciały nam pomóc. Problem polegał na tym, że każda mówiła co innego...

Wyjeżdżając z Niwnik spotkaliśmy w progu drewnianego (wszystkie domy w Niwnikach były drewniane więc niepotrzebnie podkreślam) kolejną staruszkę. A że rzeczywistość była trochę inna od tej na mapie postanowiliśmy zapytać jej jak jechać dalej do Słobódki przez Jawteriszki i Sutorowszczyznę. Starsza pani albo nas nie rozumiała albo zwyczajnie nie wiedziała bowiem wyglądała nam na kogoś kto już bardzo, bardzo dawno z Niwnik nigdzie nie wyjeżdżał, bo i w sumie po co? Wszędzie jest przecież tak samo...

Zawołała sąsiadkę... Sąsiadka jeszcze dwie i się zaczęło...

Panie Niwniczanki były niezwykle przejęte i bardzo chciały nam pomóc. Problem polegał na tym, że każda mówiła co innego... Do dzisiaj nie wiem czy dobrze zrobiliśmy słuchając się bardziej kobiet z Niwnik niż własnej intuicji, która podpowiadała nam aby jechać zupełnie inną drogą...



71

Droga, którą wskazały nam Niwniczanki oprócz tego, że nie prowadziła do Słobódki tak jak chcieliśmy tylko z powrotem do Ikażni (tyle, że inną drogą) to jeszcze była pełna niespodzianek w postaci głębokich kałuż i jeszcze głębszego piachu. W dodatku było właśnie samo południe niezwykle słonecznego dnia tak, że w końcu Jarek, największy twardeł tej wyprawy i w dodatku głodny rzekł sakramentalne: "Mam już tego dosyć..."

Nie było lekko to prawda. Całą powrotną drogę do Ikażni z małymi przerwami prowadziliśmy rowery. W końcu dotarliśmy do miasteczka, minęliśmy je i znaleźliśmy upragnioną szutrówkę, która zaprowadziła nas wprost do miasta artystów, Słobódki... Ta szutrówka z tym co mieliśmy do tej pory na drodze do Ikażni to iście autostrada...

---

<sup>71</sup> Do dzisiaj nie wiem czy dobrze zrobiliśmy słuchając się kobiet z Niwnik niż własnej intuicji, która nakazywała nam jechać inną drogą...



72

Wszystko świetnie i fajnie, ale jednak cały czas czuję jakiś niedosyt. Trasa przez Białoruś, którą sobie wyznaczaliśmy może nie poraża kilometrażem, ale i tak jest za długa, aby wczuć się w klimat pewnych mijanych miejsc... To oczywiste, że nigdy w czasie dłuższej lub krótszej rowerowej wyprawy tegoż klimatu nie da się poczuć w pełni... Ale można spróbować i zrobić to lepiej albo gorzej... My zrobiliśmy to średnio wyznaczając sobie zbyt długą trasę. Gdybyśmy skupili się na samej Braśławszczyźnie poczulibyśmy chociaż namiastkę owego klimatu. A tak wszystko dzieje się za szybko...

Jutro musimy pożegnać Białoruś, w której czujemy się coraz lepiej i która to podoba nam się coraz bardziej... Nawet nie myślimy o tym, aby pobyt tutaj sobie przedłużyć gdyż przez naszą niewiedzę i niedopatrzenie we wniosku wizowym napisaliśmy, że planujemy spędzić na Białorusi 9 dni (zupełnie niepotrzebnie byliśmy tacy szczerzy i dokładni...). Na wizie białoruski konsul wpisał nam więc dokładnie to samo, czyli "Tiermin jenachodzenija (czyli czas trwania pobytu) - 9 dień i wyjścia specjalnego nie mamy. Tak zaczyna być tu pięknie, ale jutro musimy rzec " Жегнай Биалорус"... Szkoda.

Ach, te granice, ta polityka!

Słobódka jest największą po Braśławiu miejscowością w rejonie Jezior Braśławskich. Miasteczkowy charakter tej dużej wsi (tak tak, przed wojną Słobódka była miastem, a nawet siedzibą gminy...) nadają jej trójkątny, brukowany placyk między kościołem, a

---

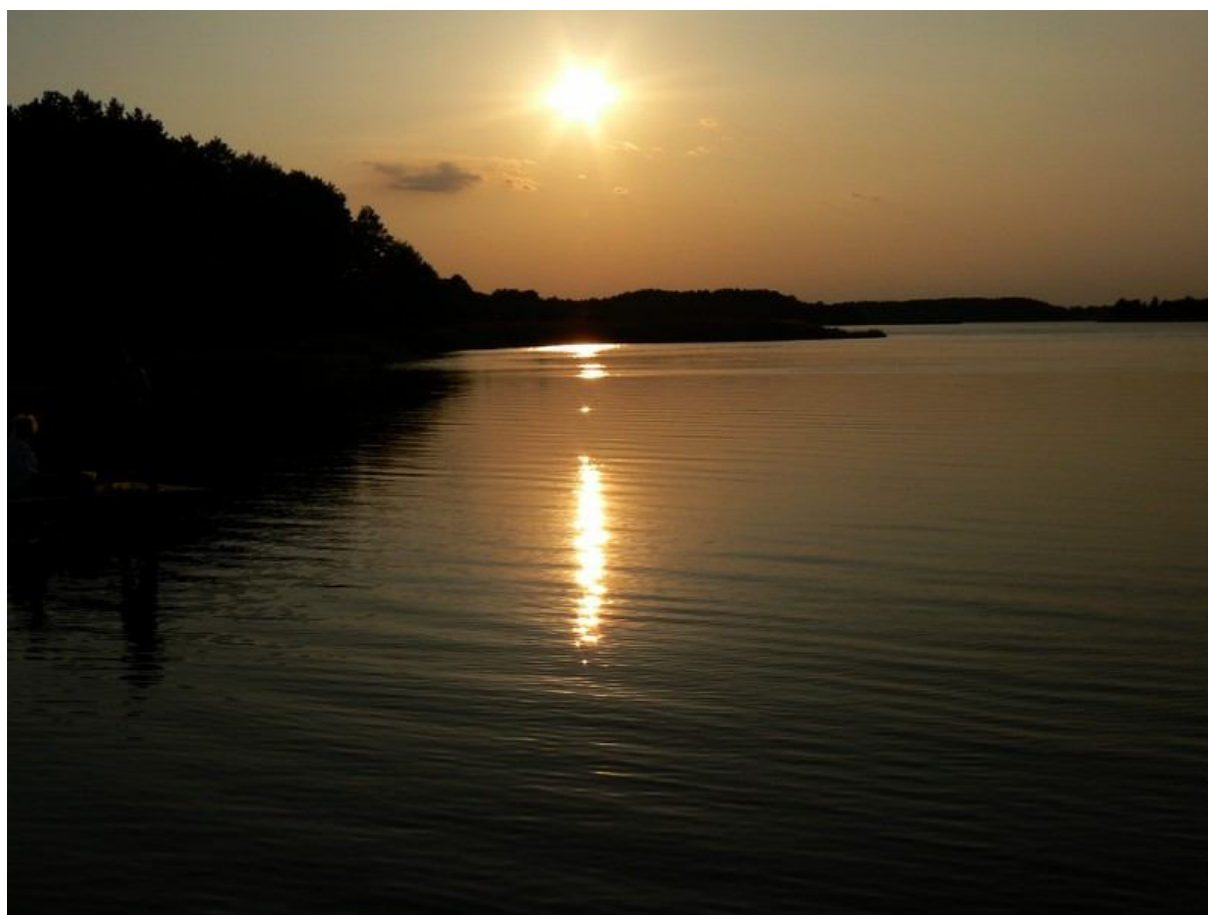
<sup>72</sup> Droga, którą poprowadziły nas Niwniczanki była pełna niespodzianek i głębokiego piachu. W dodatku było właśnie samo południe niezwykle słonecznego dnia tak, że końcu Jarek, największy twardziel naszej wyprawy rzekł "Mam już tego dosyć"...

sklepem (przed wojną stał na nim pomnik Józefa Piłsudskiego) oraz pełne uroku brukowane uliczki boczne wiodące w stronę jeziora.

Szukamy w Słobódce domu ludowego rzeźbiarza Piotra Zalewskiego, gdzie według przewodnika Grzeška Rąkowskiego "Wśród jezior i mszarów Wileńszczyzny" w ogródku przed domem rzeźbiarza znajduje się prawdziwa galeria jego drewnianych rzeźb postaci świętych, ludzi, zwierząt... Niestety nie znajdujemy...

Od pewnej pani, którą spotykamy przy miejscowym sklepie dowiadujemy się dlaczego. Otóż kilka lat temu pan Piotr popełnił samobójstwo zostawiając w spadku dom i rzeźby swemu synowi, który to stwierdził, że większy z nich będzie pożytek w muzeum... Przewodnik pana Rąkowskiego został napisany dziewięć lat temu, a życie nie stoi w miejscu tak jak w książce tylko płynie do przodu. I niektórzy co bardziej wrażliwi artyści nie wytrzymują widocznie ów biegu...

Miejsca na nocleg szukaliśmy na wzgórzach otaczających z północno-wschodniej strony Słobódkę. Był upał, duchota wisiała w powietrzu... Szukaliśmy tak wytrwale dogodnego miejsca, że coś musiało się w końcu wydarzyć...



73

Owszem, słyszeliśmy wyraźnie jakieś odgłosy rozkoszy. Ale zmęczenie tak dawało znać o sobie, że osobiście pomyślałem iż nosi je z oddali płynąca nieopodal rzeka. No i w tym samym momencie zobaczyliśmy parę młodych białorusinów... Oni zobaczyli również i nas i zaczęli się w pośpiechu ubierać. Zrobili to błyskawicznie i równie szybko zniknęli gdzieś wśród porastający wzgórze wysokich traw. Głupio nam się zrobiło, że przerwaliśmy w takim momencie!

---

<sup>73</sup> Jezioro w Słobódce w wieczornej poświacie.

Nie ma jednak tego złego co by na dobre nie wyszło. Mieliśmy teraz całe te wzgórza tylko dla siebie. Mogliśmy rozbić namiot wszędzie... Rozbiliśmy się niedaleko samotnie leżących w dolinie pośród porastających wzgórza ziół i polnych kwiatów drewnianego, opuszczonego domu i małego budynekczku bani w stanie ruiny... Wyciągnęliśmy z sakwy Piercowaję, czyli paprykówkę, kupioną w sklepie w Słobódce za 7000 rubli i położyliśmy się na wyschniętej, suchej trawie, a wokół panowała doskonała cisza. Wieczór był parny, jakby lipcowy, księżyc świecił w swojej pełni. Piercowaja dodała wyrazistości temu ostatniemu wieczorowi na białoruskiej ziemi...



74



75

---

<sup>74</sup> Szukając cichego miejsca na nocleg w pobliżu Słobódki przeszkodziliśmy parze młodych białorusinów...

<sup>75</sup> Piercowaja dodała wyrazistości temu ostatniemu wieczorowi na białoruskiej ziemi...

17 sierpnia 2009

## **Snudy, Strusto, Drywiaty i Brasław, czyli żegnamy Białoruś**

W czasie dziesięciu dni tej wyprawy "awarie" zdarzają się tylko mnie: pęknięty wspornik bagażnika i w sumie trzy gumy. Teraz w drodze ze Słobódki nad Jezioro Snudy najpierw gdzieś na polnej drodze przebijam dętkę, wymieniam ją na nową, ale nie zauważam kawałka drobnego szkła, który wbija się głęboko w oponę. Za kilkaset metrów znowu słyszę wiec charakterystyczny syk i mamy kolejną przerwę. Tym razem jednak Wojtek znajduje mały, szklany odprysk gdzieś głęboko w bieżniku i po jego wydłubaniu wszystko wraca do normy - możemy jechać dalej...

Często różne fascynujące miejsca wypatrzone gdzieś na mapie albo na zdjęciach okazują się wcale nie tak piękne jak je sobie wyobrażaliśmy. Brasławszczyzna nie sprawiła nam zawodu. Jest to obszar o wyjątkowo urozmaiconym krajobrazie, nasycony wielką liczbą jezior, które w połączeniu z wysokimi wzgórzami i terenami odludnymi sprawiają, że miejsce to jest szczególnie wyjątkowej urody.



76

Ze Słobódki dojechaliśmy w samo serce Brasławszczyzny - do wsi Łunie położonej nad rzeką Drujką. Zagrody we wsi są malowniczo porozrzucane wśród wzgórz nad doliną rzeki, a nad samą Drujką stoją wśród łąk drewniane domki bań. Tam zapytaliśmy o dalszą drogę trzech spotkanych właśnie starszych mężczyzn. Zaczęli nam o choczko tłumaczyć jak mamy jechać dalej aby nie zabłądzić gestykując przy tym żywo rękami,

---

<sup>76</sup> Na Białorusi unikaliśmy głównych dróg jak ognia zwiedzając przede wszystkim białoruską prowincję, na której drogi są jakie są...

wskazując nimi coraz to nowe kierunki, ale nie dokończyli, bowiem... nadszedła żółta łada. Kiedy żółta łada się zatrzymała urwali w pół zdania, zostawili nas i zaczęli coś w jej środku z niezwykłym zaciekawieniem oglądać. Co było w tej żółtej ładzie tego nie wiemy. Możemy się tylko domyślać, że coś arcyważnego, gdyż panowie na nas już uwagi nie zwracali. Tak jakby nas w ogóle nie było... Tak jakby nie było tego, że przed momentem pytaliśmy o drogę, a oni bardzo chcieli nam pomóc. Tak jakby nic nie istniało oprócz tego co zobaczyli w tej żółtej, pordzewiałej ładzie 1600...

Postanowiliśmy sami znaleźć drogę, która zaprowadziłaby nas przez przysiółek Horodyszczce wprost nad Jezioro Snudy. Udało się znaleźć ów drogę, ale plany pokrzyżowało nam to, że w przeszłości nie uczyliśmy się języków, a ściślej rosyjskiego... Bowiem jechaliśmy polną drogą w dobrym kierunku, gdy nagle droga ta się skończyła jak ręką uciął. Może nie do końca, bo biegła dalej, ale już po drugiej stronie zamkniętej, prowizorycznej bramy na której była tabliczka z napisem po rosyjsku "Wnimanije! Wypos skota zakrywajcie worota!" Myśleliśmy, że dalej to teren prywatny i wstęp wzbroniony, ale teraz już wiemy, że mogliśmy jechać dalej, gdyż prosili tylko zamykać wrota. Być może pasło się dalej coś...

Nie przeczytaliśmy dokładnie? Przestraszyliśmy się dzikich krów? Nie zrozumieliśmy? W każdym bądź razie strasznie głupio zrobiliśmy rezygnując tak łatwo z tej malowniczej drogi i zawracając do wsi Łunie skąd nad Snudy prowadziła inna, okrężna droga, mniej ciekawa i szutrowa...

Dalej to już była grawijka jak się patrzy... Biegła ona okrążając Jezioro Snudy... I cała seria małych, porzrzucanych, malowniczych wiosek ze wsią staroobrzędowców Bułowiszkami na czele. No i widoki zapierające dech w piersiach, skąpane w ostrym dzisiejszego dnia słońcu.

Okrążając Snudy po kolei mijaliśmy kilkudomowe wioski: Krasnogórkę (gdzie na całej tej 20 km trasie był jedyny otwarty sklep), Zasnudzie, Jurany, Posnudzie, Krzywosielce, Gliniszki, Koloniszki, Łuksze, Jakubiańce, Bułowiszki... Co za swojskie nazwy! Niekiedy nawet nie wiedzieliśmy, że znajdujemy się akurat w jakiejś wsi tak bowiem były porzrzucane i wyludnione...



77

<sup>77</sup> Okrążając Jezioro Snudy po kolei mijaliśmy kilkudomowe, wyludnione wioski...



78



79

<sup>78</sup> Ci panowie tłumaczyli nam jak dojechać nad jezioro Snudy gdy nagle nadjechała żółta Łada...

<sup>79</sup> Teraz już wiemy, że mogliśmy jechać dalej, gdyż prosili tylko zamykać wrota...



Bułowiszki to wieś zamieszkała przez staroobrzędowców. Tam właśnie znajduje się drewniana molenna, przerobiona na świątynię ze zwykłej wiejskiej chaty, do której przybudowano czworoboczną wieżę zwieńczoną niewielką kopułką. Tutaj, zresztą jak we wszystkich nadjeziornych wioskach prawie przy każdej z zagród stoi od strony jeziora niewielki, drewniany budynek bani, malowniczo wtapiając się w urokliwy krajobraz...



80

Okrażenie jeziora Snudy zajęło nam prawie 4 godziny. Tutaj po drugiej stronie jeziora, za Kiezikami wjechaliśmy na cypel, na którym wody Jeziora Snudy łączyły się z wodami Jeziora Strusto piaszczystym półwyspem. Czekająca tu na nas wspaniała nagroda za trud pedałowania w pełnym, południowym słońcu po ciężkiej, garbatej, pylistej drodze. Tam z niemałym trudem wdrapaliśmy się na spore wzgórze i ... dosłownie zaparło nam dech w piersiach i to bynajmniej nie ze zmęczenia...

Oto jak pisze o tym krajobrazie, który zobaczyliśmy dzisiaj ze wzgórza również i my Grzegorz Rąkowski, niezrównanej klasy turysta, miłośnik kresów, autor przewodnika "Wśród jezior i mszarów Wileńszczyzny", którego to lektura stała się dla nas inspiracją aby dotrzeć tak jak jego autor właśnie w to miejsce, na ów cypel łączący ze sobą dwa przepięknej urody jeziora:

"Widziałem wiele pięknych widoków w różnych częściach świata, ale śmiało mogę powiedzieć, że bardzo niewiele z nich mogłoby się równać z tym miejscem. Dziesiątki zatok i półwyspów, brzegi na przemian płaskie to znów strome, wysokie. Niewielki rybackie wioseczki na brzegach i przybrzeżne mokradła... Najwięcej uroku mają jednak niezliczone wyspy, odcinające się soczystą zielenią od ciemnoszafirowych wód jezior i

---

<sup>80</sup> W Bułowiszkach znajduje się drewniana molenna staroobrzędowców, przerobiona na świątynię ze zwykłej wiejskiej chaty.

tworzące całe archipelagi - widok niezwykle na wodach śródlądowych i przywodzący na myśl raczej jakieś morza południowe(...). Wąski pas piasku o szerokości niespełna 100 m, oddziela tu od siebie wody dwóch ogromnych jezior, tworząc po obu stronach wspaniałe, piaszczyste plaże, obramowujące dwie doskonale symetryczne, półkoliste zatoki o przezroczystej, błękitnozielonej wodzie. Skojarzenie z plażami wysp tropikalnych było nieodparte i jedynie ogromne jałowce rosnące w środkowej części przesmyku przywiodły nas do rzeczywistości..."

Pod słowami powyższymi podpisuję się obydwojma rękoma! Kiedy pierwszy raz przeczytałem ten opis zapragnąłem kiedyś tu dotrzeć. Dzisiaj się to udało!



81

Zostawiliśmy Jezioro Snudy i zaczęliśmy okrążyć Strusto kierując się w stronę Brasławia. Obok Jeziora Drywiaty to dwa najwspanialsze, najpiękniejsze i największe z prawie trzystu jezior Brasławszczyzny.

Znaleźliśmy dziką plażę nad Strusto. Znaczący się prawdę mówiąc na Białorusi wszystkie plaże są dzikie, puste i niestrzeżone jeśli o to chodzi. Przynajmniej my nie widzieliśmy plaż "cywilizowanych". Piaszczyste dno, zejście łagodne, woda czyściutka, wokół las, okolica spokojna. W taki piękny, słoneczny dzień jak dzisiaj miejsce to wydaje się rajem dla letników. Ale letników nie ma. Przez trzy dni na Brasławszczyźnie spotkaliśmy ich zaledwie kilku, widzieliśmy nawet dwie żaglówki nad Snudami, ale stały zacumowane przy brzegu wyglądając na dawno nie używane... Nie ma turystów, nie ma samochodów. Nie ma pieniędzy. Miejscowi jeżdżą furmankami, albo tak jak my rowerami. Z

---

<sup>81</sup> Za Kiezikami wjechaliśmy na cypl, na którym wody Jeziora Snudy łączyły się z wodami Jezioro Strusto piaszczystym półwyspem. Czekala tu na nas wspaniała nagroda za trud pedałowania w pełnym, południowym słońcu...

płaskodennych drewnianych łodek łowią ryby... My zaś kąpiemy się w przeźroczystej wodzie Jeziora Strusto zupełnie sami...



82

Celowo omijaliśmy większe metropolie aby przyrzeć się białoruskiej prowincji więc nie wiemy jak jest z tym w dużych miastach, w takim Mińsku na przykład... Ale tutaj fakt jest faktem, że za dużo pieniędzy ludzie nie mają. Ale czy są z tego powodu nieszczęśliwi? Nie sądzę. Wręcz przeciwnie... Może ich spokój i zadowolenie bierze się właśnie z tego, że tutaj każdy nie ma pieniędzy więc panuje względna równość? Rzeczywiście nie widać tutaj takich kolosalnych różnic i przepaści między tymi co mają dużo, a tymi co ledwie wiążą koniec z końcem jak jest teraz u nas, jak można dostrzec to zjawisko już na sąsiedniej Ukrainie...

Jadąc w maju z rajdem rowerowym do Lwowa byliśmy mijani przez auta różne, ale czasami naprawdę luksusowe - nowoczesne terenówki, merce, beemki, a obok przy drodze mężczyźni w pocie czoła orali pola jeszcze za pomocą pługu! Rezonans kompletny! Takich obrazków na Białorusi nie widzieliśmy. I może ktoś mi teraz chciałby tłumaczyć, że pola na Białorusi są własnością państwa, a maszyny własnością kołchozu (czyli też państwa) i dlatego na białoruskich polach nie widać takiej biedy. Ja to wszystko wiem i rozumiem, ale co to tak naprawdę zmienia? Na Białorusi spotykaliśmy zadowolonych z życia ludzi, którzy może nie mieli zbyt wiele, ale cieszyli się z tego właśnie co mają. Może to jest recepta na szczęście?

Brasław jest wyjątkowo malowniczo położonym miastem na przesmyku pomiędzy ogromnym Jeziorem Drywiaty, a znacznie mniejszymi jeziorami Nowiata i Biereże.

---

<sup>82</sup> To co nas bardzo zdziwiło to zupełny brak infrastruktury turystycznej oraz turystów w ogóle na Pojezierzu Brasławskim, które w swym pięknie i ilości jezior można śmiało porównać z polskimi Mazurami.

Pomimo tego, że jest stolicą rejonu nie widać tu szpecących miasto typowych sowieckich budowli jakie oszpecają większość miast na obszarze byłego ZSRR. Owszem, Lenin stoi przed budynkiem magistratu, ale jest to jedyna pamiątka z czasów zamierzchłych. A tak w 10 tysięcznym Brasławiu przeważa stara zabudowa typu wiejskiego - drewniane domy otoczone sadami i ogródkami. Nawet widzieliśmy świeżo postawiony drewniany dom uszczelniany mchem taki sam jak widzieliśmy w naroczańskej puszczy w Stańczykach... Słowem drewniana zabudowa miasta i nie śpieszący się nigdzie ludzie powodują, że w Brasławiu panuje ten swojski klimat, który pozwala nam przez dwie godziny pobytu tutaj napawać minionym zdawałoby się bezpowrotnie sennym nastrojem kresowej prowincji.

Od jakiegoś czasu wszyscy biorą nas za pielgrzymów. Zaczęło się od siostry zakonnej w Zdzięciole jeszcze przed Nowogródkiem. "Panowie pewnie na koronację z pielgrzymką do Najświętszej Pani Brastawskiej?". W miarę przybliżania się do Brasławia coraz więcej osób po drodze pytało czy jedziemy na koronację obrazu Matki Bożej Królowej Jezior i na każdym kroku ludzie mówili tylko o tym. Bo w Brasławiu rzeczywiście szykowało się za kilka dni wielkie święto i miało przybyć tysiące pielgrzymów...

Wchodzimy do brasławskiego kościoła. Tam krzątania, próba chóru, dekoracje. Spotykamy polskiego księdza odpowiedzialnego za te wszystkie przygotowania do koronacji, pracującego zresztą w tej parafii od kilku dobrych lat. Ksiądz jest bardzo serdeczny, udziela nam kilku cennych wskazówek odnośnie przekraczania granicy z Łotwą, do której to zbliżamy się wielkimi krokami i dodaje otuchy, że meldunek na jeden dzień z Nowogródka powinien wystarczyć...



83

---

<sup>83</sup> Na sam koniec pobytu na Białorusi jedziemy nad Drywiaty, jedno z największych jezior Białorusi, położone nad samym Brasławiem, przypominające bezkresne morze.

Wcale nie chce mi się opuszczać Białorusi. Coraz bardziej czuję się tu swojsko, dobrze. Może sprawia to nastrój i klimat samego Braśławia? Chłopaki chyba mają podobne odczucia bo odwlekamy decyzję o wyjeździe na granicę do samego wieczora, wymyślając coraz to coś nowego: najpierw stołowaja i jak zwykle taniutki obiad i piwo (za dwa mielone z podwójnymi ziemniakami i surówką zapłaciłem 7 zł), potem Góra Zamkowa skąd podziwiamy tutejszą okolicę, następnie zwiedzamy braśławski kościół, który jest ośrodkiem życia polskiego w mieście i okolicy jako, że rejon braśławski ma jeden z najwyższych odsetków ludności polskiej na całej Białorusi, oglądamy cerkiew p.w. św. Mikołaja Cudotwórcy, a na koniec jedziemy nad Drywiaty, jedno z największych jezior Białorusi, położone nad samym Braśławiem. Tam ogromna tafla wody (przed wojną ze swoją powierzchnią 36100 ha było czwartym co do wielkości jeziorem w Polsce) ginąca w oddali i piaszczysta plaża przypomina nam bezkresne morze i łapiemy sentymentalny nastrój...

Już po 19-ej białoruskiego czasu pora ruszać na granicę. 20 km odcinek z Braśławia do wsi Urbany, gdzie przekroczymy granicę z Łotwą pokonujemy nieśpiesznie, jakby leniwie. Po drodze nic ciekawego oprócz łotewskiej mrówki na rowerze kursującej ze sprytnie zamontowanym kartonowym pudłem na bagażniku po papierosy i alkohol zapewne.

Takich uprzejmości na granicy białorusko-łotewskiej to żeśmy się doprawdy nie spodziewali. Na początku przywitała nas wesoła, młoda blondynka-celniczka i na wspomnienie tego spotkania do dzisiaj zrywamy boki ze śmiechu. Grunt to znajomość języków! Ale jak teraz o tym myślę, to aż zdziwienie mnie bierze, że nikt z naszej czwórki (łącznie z panią celniczką) nie gapną się o co chodzi...

Otóż pani celniczka wyjęła trzy karteluski (na wschodnich granicach te karteczki są rzeczą prawie świętą i żadna odprawa graniczna nie może się odbyć bez ich udziału) i pytała nas po kolei "Kak zawód?" zapisując nasze odpowiedzi pilnie na ów świstkach. Byliśmy przekonani, że pyta się o to czym się zajmujemy na co dzień w pracy i po kolei każdy z nas grzecznie odpowiadał, a pani to wszystko pilnie notowała: Jarek, że jest elektryk-automatyk, Wojtek, że analityk, a mój "zawód" to informatyk. Coś wzbudziło podejrzenia pani celnik bo zaczęła się podśmiewać z naszych dziwnych "imion", musieliśmy je zresztą po kilka razy powtarzać, bo wydawały się dla niej oprócz tego, że śmieszne to jeszcze trudne do zapisania. Ale pisała twardo, a jakże!

Wszystko wyszło jak podjechaliśmy do kontroli paszportowej. Tam kolejna celniczka najpierw zajrzała na karteczki, ale potem do paszportów, coś jej nie grało i się wszystko wydało. Jak gapnęliśmy się o co chodzi to zaczęła się razem z nami głośno śmiać rozładowując tym samym trochę dla nas napiętą atmosferę (przypominam, że meldunek mieliśmy tylko na jedną noc, a tych nocy spędziliśmy na Białorusi dziewięć i do końca nie wiedzieliśmy czy nam nie pierdykną mandatu, którego zresztą i tak za bardzo nie mielibyśmy z czego już zapłacić...) przekraczania białoruskiej granicy.

Nie było żadnego problemu. Wszyscy celnicy (raczej celniczki bo ich była większość) byli bardzo uprzejmi i przyjaźnie do nas nastawieni na tej białorusko-łotewskiej granicy w Urbanach.

Życzyli szczęśliwej drogi, uśmiechali się do nas pytając skąd i dokąd jedziemy, ogólnie byli zainteresowani. Jeśli już widzieli tutaj na tej cichej, spokojnej granicy, gdzie niewiele na co dzień się działo jakiś obładowanych rowerzystów to zazwyczaj byli oni obładowani kartonami papierosów, kilogramami słodyczy i litrami napojów wysokowych tak jak ta łotewska mrówka. Takich jak my widzieli chyba rzadko i stanowiliśmy zdaje się pewną dla nich atrakcją...

Jesteśmy na Łotwie! Kiedy rozbijamy namiot nad jeziorem Sila w przygranicznej osadzie Silene jest już po 21-ej. Zastanawiamy się tylko czy można tu rozbijać się na dziko wszak to już Europejska Unia. Wcale jakoś za nią nie tęskniłem...

Podróżując po Białorusi terażniejszość przepływała jakby obok nas. Wszystko zdawało się płynne i tymczasowe. Ciężko będzie się teraz wracało do trochę innego świata - tej unijnej przewidywalności...



84



85

<sup>84</sup> Takich uprzejmości na granicy białorusko-łotewskiej to żeśmy się doprawdy nie spodziewali...

<sup>85</sup> Ciężko będzie się teraz wracało do trochę innego świata - tej unijnej przewidywalności...

18-19 sierpnia 2009

## Meta, czyli droga do domu

Łotwa nie przywitała nas chlebem i solą. Jeszcze wczoraj kładąc się spać myślałem o tym, że dzisiaj pojeździmy w końcu po gładkich, unijnych szosach. Akurat!

Tuż za Silene, osadą gdzie nocowaliśmy zaczęła się tak poryta i dziurawa szutrówka, że takich nawet na Białorusi nie widzieliśmy! Ciągnąć się będzie przez 20 km aż do granicy z Litwą...



86

Na dodatek, kiedy dojechaliśmy do Kumbuli pierdykną taki deszcz, że historia. Istne urwanie chmury! Chowamy się na przystanku autobusowym we wsi. Po 30 minutach trochę przestaje, więc jedziemy dalej. Nie na długo... Zaraz za Kumbuli znowu zaczyna lać. Teraz szutrówka zamienia się w jedno wielkie błoto... Nie mamy wyjścia, musimy jechać dalej, twardo do przodu... Drugi raz chowamy się przed deszczem pod zadaszonym przystankiem tuż przed samym przejściem granicznym z Litwą. Zupełnie niepotrzebnie, gdyż jesteśmy już i tak cali mokrzy i niewiele to nam może pomóc, a leje jakby mocniej i przestać bynajmniej nie zamierza. Po kwadransie stwierdzamy, że szkoda czasu na sentymenty. Jedziemy więc na przejście łotewsko-litewskie, które przekraczamy nie wyciągając nawet paszportów. To rzeczywiście duża zaleta Unii!

Kwadrans później trafiamy za to na litewską straż graniczną. Teraz już musimy paszporty pokazać... Strażnicy są upierdliwi, w taką pogodę mogli by odpuścić... Czyżbyśmy

---

<sup>86</sup> Do Kumbuli priama, priama, priama. Łotysze mieszkający niedaleko granicy do dzisiaj posługują się tylko rosyjskim...

wyglądali na nielegalnych emigrantów? Chyba tak, bo wyglądamy naprawdę żałośnie, a zresztą kto normalny jeździ w taki deszcz rowerem i to na takim zadupiu? A leje cały czas jak jasna cholera...

Z długotrwałym deszczem w czasie jazdy rowerem jest tak, że uodparniasz się po pewnym czasie i jest ci już wszystko jedno. Przynajmniej ja tak mam, że im dłużej jadę w strugach deszczu tym mniej mi on przeszkadza. Poczynam się wtedy fraszką Leca: "wszystko mija nawet najdłuższa żmija", minie więc i to...

Przeostało łać dopiero w Visaginas. Można sobie wyobrazić jak wyglądaliśmy... Dla mnie i Jarka Visaginas to meta tegorocznej wyprawy, Wojtek przejedzie rowerem jeszcze całą Litwę i po 370 km dotrze do Suwałk, skąd pociągiem wróci do Warszawy...

Pożegnalny obiad zjedliśmy w restauracji prowadzonej przez litewskich Cyganów mówiących po rosyjsku. Na obiad ciepła zupa (jesteśmy bardzo zziębnięci stawia więc nas na nogi) i placki po litewsku. Pyszota, ale w porównaniu z cenami z białoruskiej stołowi płacimy za to fortunę.

Po obiedzie żegnamy się z Wojtkiem i jedziemy na dworzec, gdzie kilka minut po 15-tej ruszamy pociągiem do Wilna...



87

Wilno to już zupełnie odrębna historia. Spędziliśmy tam cały wieczór, włóczęc się po uliczkach tego miasta i spotykając różnych dziwnych ludzi, z których najbardziej zapamiętałem cztery rozkoszne dziewczyny ubrane skąpo i przebrane za króliczki

---

<sup>87</sup> W Visaginas żegnamy się z Wojtkiem, który wróci do Polski rowerem...



Playboya, no i jednego kolesia, który zachęcał nas abyśmy wpadli na "małe-co nieco" do klubu dla gejów...

Zwiedzaliśmy, robiliśmy zdjęcia, podziwialiśmy to królewskie miasto. Pięknie jest w Wilnie! I głośno, bo takie miasta jak Wilno lubią nocną zabawę. Po ciszy Białorusi czujemy się tu trochę nieswojo...

Na nocleg w akademiku studenckim docieramy po północy. Padamy jak muchy po ciężkim dniu pełnym deszczu i wielkomiejskich wrażeń... Pierwsza noc od jakiegoś czasu w normalnym łóżku! Luksus...

Nazajutrz wstaliśmy wcześniej z rana, aby przed odjazdem pociągu pozwiedzać jeszcze Wilno. Plan na dokładny objazd rowerami miasta (bardzo przyjaznego cyklistom ze względu na sieć ścieżek rowerowych) miał Jarek. Ułożył super trasę, którą zrealizowaliśmy w małym zaledwie procencie... Primo - już w punkcie 5 wycieczki (a punktów było prawie 20) na Górze Zamkowej zaczęło padać, sekundo - zabrakło czasu, gdyż o 12:00 mieliśmy jedyny bezpośredni pociąg (na następny musielibyśmy czekać do jutra) do Szestokai, na granicę z Polską, a Wilno to miasto jak studnia bez dna jeśli chodzi o zabytki i o to co obejrzeć trzeba.

Droga na dworzec to jeden wielki żywioł. Przez to poranne zwiedzanie zabrakło nam czasu i wszystko na hurrria. Jadę pierwszy, za mną Jarek. Obracam się przed samym dworcem, a Jarka nie ma. Do odjazdu pociągu zostało 10 minut... Jarek przybywa kilka minut później, przed samym odjazdem. Łańcuch spadł - nie miał cholera kiedy... Zdążyliśmy w ostatniej chwili! Wracamy do domu!



88

---

<sup>88</sup> Przed Kaplicą Ostrobramską w Wilnie.

## Zakończenie

Przejechaliśmy rowerami na Białorusi 820 km, w tym ponad połowę drogami polnymi i słynną białoruską szutrówką, zwiedzając przede wszystkim białoruską prowincję. Sporo. Zwiedziliśmy wschód i północ Białorusi, teraz czas na południe tego kraju - od Brześcia po Mozyrz.

Fajnie było. Białoruś zaskoczyła nas kompletnie... Co do przyrody byliśmy spokojni, że nas nie zawiedzie. Co do innych spraw to spodziewaliśmy się kraju skorumpowanego i nie wiadomo co jeszcze... Zastaliśmy kraj porządku, czysty, dobrze zorganizowany. Piszę to jako osoba, która politykę ma głęboko w dupie. Opieram się tylko na tym co widziałem osobiście, a nie w telewizyjnym dzienniku.

\*\*\*

Być może się mylę, że na Białorusi jest tak słodko. Być może zwiedzając prowincję zapomnieliśmy o tym, że w miastach również żyją miliony białoruskich obywateli. Być może chciałem zobaczyć to co chciałem i moje odczucia są wybitnie subiektywne. Być może. Jeśli tak proszę o sprostowania, opinie i komentarze, z chęcią podyskutuję o tym bądź o tamtym lub dowiem się czegoś nowego o tym kraju. Zapraszam do pisania do mnie na adres [rowerowyparczew@gmail.com](mailto:rowerowyparczew@gmail.com)



89

---

<sup>89</sup> Zwiedziliśmy wschód i północ Białorusi, teraz czas na południe tego kraju - od Brześcia po Mozyrz...

## Spis treści

	<a href="#">Wstęp</a> .....	3
8 sierpień 2009	<a href="#">Prolog, czyli w przygranicznej Kuźnicy</a> .....	4
9 sierpień 2009	<a href="#">Z Grodna do Bohatyrowicz, czyli pierwszy dzień na Białorusi</a> ...	5
10 sierpień 2009	<a href="#">Grawijką wzdłuż południowego brzegu Niemna</a> .....	13
11 sierpień 2009	<a href="#">W Nowogródku i nad jeziorem Świteż</a> .....	23
12 sierpień 2009	<a href="#">Zmiana planów, czyli jak znaleźliśmy się w Lidzie</a> .....	31
13 sierpień 2009	<a href="#">Z Lidy do Mołodeczna i dalej na północ</a> .....	39
14 sierpień 2009	<a href="#">Świr, droga do Stańczyk i jezioro Narocz</a> .....	45
15 sierpień 2009	<a href="#">Magia ruskiej bani i początki jezior Braśławskich</a> .....	54
16 sierpień 2009	<a href="#">W samym sercu Braśławszczyzny</a> .....	63
17 sierpień 2009	<a href="#">Snudy, Strusto, Drywiaty i Braśław, czyli żegnamy Białoruś</a> ....	70
18-19 sierpień 2009	<a href="#">Meta, czyli droga do domu</a> .....	79
	<a href="#">Zakończenie</a> .....	82

R E K L A M A

### Parczewska Grupa Rowerowa

Jesteśmy grupą ludzi, których łączy wspólna pasja - jazda na rowerze. Inspiracją dla nas jest zwykła radość i satysfakcja wynikająca z jazdy rowerem. Zrozumią to tylko ci, którzy poczuli ją kiedykolwiek, pomimo zmęczenia albo przeciwnych wiatrów...

Chcielibyśmy zarazić wszystkich, a szczególnie mieszkańców Powiatu Parczewskiego cudownym spędzeniem wolnego czasu jakim jest jazda na rowerze. Pokazać, że każdy kilometr drogi pokonanej rowerem ma swój kolor, zapach i ciężar, że każdy przejechany kilometr pozostawia po sobie niezatarty ślad...

W czasach, kiedy tak wielu z nas przyzwyczało się do samochodu, chcemy pokazać, że można inaczej. Dla naszego zdrowia, kondycji fizycznej, dla naszej własnej satysfakcji i przeżycia prawdziwej przygody. Tych, którzy są niezdecydowani chcemy zachęcić do tego, że rower to świetny wybór niezależnie od płci, wieku, zajmowanego stanowiska czy zawartości portfela. Tych, którzy już jeżdżą chcemy zintegrować i pokazać, że w grupie osób o podobnej pasji zawsze jeździ się różnie, bezpieczniej i rodzi się więcej pomysłów...

**Jeśli chcesz poczytać więcej o Parczewskiej Grupie Rowerowej lub dołączyć do nas zapraszam na**

[www.rowerowyparczew.site50.net](http://www.rowerowyparczew.site50.net)



## W wyprawie udział wzięli:



- **Wojtek** – rocznik 1983. Mieszka i pracuje w Warszawie. Skończył studia na Politechnice Warszawskiej na Wydziale Produkcji. Pracuje jako analityk w firmie produkcyjnej. Zdobyta wytrwałość na rowerze pozwala mu na "bycie twardym" w codziennym życiu. Wyprawa na Białoruś to Jego dziewiąta wyprawa z kolei. Najmłodszy, ale za to najbardziej doświadczony jeśli chodzi o podróże rowerowe z naszej ekipy. Więcej na [www.wdaniun.yoyo.pl](http://www.wdaniun.yoyo.pl)
- **Jarek** – rocznik 1977. Mieszka w Kolanie, pracuje w Parczewie jako elektryk-automatyk w fabryce kabli. Miłośnik roweru od lat, ale wyprawa na Białoruś to Jego pierwsza podróż rowerowa z sakwami i pełnym ekwipunkiem na rowerowym bagażniku. „Król grawijki”, bowiem sam Lance Armstrong miałby problemy z doścignięciem Jarka na szutrowce, kiedy chciałoby mu się jeść... Współzałożyciel Parczewskiej Grupy Rowerowej.
- **Grzesiek** – rocznik 1975. Z Parczewem związany od zawsze, z rowerem od 15 lat. Pracuje jako informatyk. Rower traktuje jako środek transportu, dlatego ciężko go spotkać jadącego samochodem. Miłośnik wypraw rowerowych z namiotem i resztą ekwipunku na rowerowym bagażniku. Uwielbia jeździć w miejsca nie popularne, tam gdzie zdawałoby się „nic nie ma”. Ma dużo pomysłów, trochę mniej czasu. Współzałożyciel Parczewskiej Grupy Rowerowej. Więcej na [www.rowerowyparczew.site50.net](http://www.rowerowyparczew.site50.net)